№ 36 Warszawa, dnia 22 Sierpnia (3 Września) roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"

WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dokończenie.)

Potockiego też możemy porównać z Janem Kochanowskim, Trębeckim i Malczewskim, nie czyniąc tem tym ostatnim najmniejszej ujmy. Nie lekceważył swej pracy i sam autor, co starał się w przemowie przeciwnie udowodnić Tyszyński. Owszem w przemowie do „Wojny Chocimskiej" powiada Potocki wyraźnie: — „Wiem-ci, że nie ujdę taksy i zęba Teutonowego, bo się przed nim nie mógł wywinąć Homerus. Nigdy tak garncarz garncarza, jako poety nienawidzi poeta. Ale ja przecież nie wątpię, że ofiarując mu ten utwór (mówi do Jana Lipskiego) tyle miejsca znajdę w sercu W. Pana, ileby najwyśmienitsze mogły mieć prezenty."

Nie przyczyna więc upadku smaku, ale inne powody zmusiły Potockiego do niedrukowania tej książki. Temi były zapewne ostre słowa, wymierzone przeciw Zugmuntowi i Władysławowi a zamieszczone w tym utworze.

Teraz musimy zaznaczyć stanowisko Potockiego i jego współudział w politycznej sprawie.

Powiedzieliśmy już wyżej, że Potocki brał udział czynny w wyprawach wojennych za Władysława i Jana Kazimierza, że należał do komisyi, której poruczono zregulowanie granic Szlązka i wreszcie zakończył swój żywot jako podczaszy króla Jana III.

Wszystko to uzupełnić jeszcze możemy jego poglądem na sprawy publiczne polskie, który przekazał w swoich dziełach.

Nim jednak zaznaczymy na tem polu jego działalność, musimy przedstawić ówczesny stan Polski.

Rokosz Zebrzydowskiego, potem późniejsze bunty kozaków i wojny szwedzkie wszystko to niezbyt korzystnie wpłynęło na interesa polskie. Polska rozbiła się na liczne stronnictwa. *Liberum veto*, którego zaciętym obrońcą stał się Maksymilian Fredro, grasowało namiętnie po głowach, mało rozumiejącej szlachty.

Krzysztof Opaliński, w swoich satyrach bez artystycznej wartości, odsłania nam w przesadnych kolorach zepsucie polityczne i moralne ówczesnego narodu. „Manifest jawnej nienawiści" Jerzego Lubomirskiego jest wybornym okazem demagogicznej literatury, jaką wbrew prawu, wbrew sumieniowi, wbrew wymaganiom państwa, przewracali szlachcie w głowach przewrotni możnowładcy.

Potocki pisząc więc swoją epopeję, pisał ją w czasach niezbyt korzystnych, ale więcej zepsutych, gdzie wszystko zwolna się rozprzęgało, gdzie już nie stało ani dzielnych królów, ani nieśmiertelnych wodzów. Pomimo tych wszystkich nieszczęść, pomimo, że Fredro wołał w swoich pismach, iż regularny żołnierz Polsce niepotrzebny, Potocki nie poszedł za tym przykładem. Owszem z nadzieją woła o naprawę Rzeczypospolitej, o wojsko, woła o sprawiedliwość i pragnie wszelkiemi siłami rozbudzić dawnego ducha narodu.

Dalej wytyka on stosunek pana do chłopka niesprawiedliwość podatków i tak:

— Uchwalimy podatków na owego chłopka,
Co ledwie roczną pracą odzieje parobka,
Ledwie tchnie, ledwie żyje, przecież je dać musi,
I poduszkę sprzedawszy, gdy go gąsior dusi.

— *O tempora! o mores!* dwadzieścia dzisiaj starostw, najwyższe honory, a jeszcze wojskowe trzyma, drugi rotmistrzem jest, a jako żyw nie był w obozie ale za to potrafi:

fakciować i mieszać sejmiki,
Nad uboższymi przewodzić; nie ma to repliki.

Widzimy więc że Potocki swoją „Wojną Chocimską" podwójnie przysłużył się krajowej literaturze:

Uzupełnił to czego nie zrobiła pierwsza połowa tego okresu, to jest opisał poetycznie zwycięztwa Polski w rozpoczętej wojnie z Turkami, i żyjąc w czasach ogólnego rozstroju, podał wzór w jakim kierunku ma się rozwijać dalej nasza literatura.

Niestety! z wzoru nie skorzystali ludzie mu współcześni. Jest on jednak najlepszym dowodem, że musiało być w kraju liczne stronnictwo ludzi dobrze pojmujących ówczesne położenie Polski, jak wyczekiwano z niecierpliwością króla dzielnego, któryby kraj ratował, i jak z każdym nowowybranym zdawało się im, że to ten sam, którego czekają.

Oto co pisze Potocki o elekcyi Wiszniewskiego: „Jam Lech, który fundował Polskę w przestronnej sarmackiej ziemi; ja — spustoszone osiadłości i dziedzictwa białego orła, odarte i obnażone z dawnej sławy, tytuły jego zdeptane, oblane krwią tak obficie, przez dwanaście wieków jego zaszczyty zdobyte i nagrodę cnocie oddam; oraczom rolę i blask koronie mojej dawnej przywrócę."

Darmo—wszystko zawodziło Polaków! i—„Jam Lech", z którego tyle sobie szlachta rokowała szczęścia, że aż przez rozłożenie liter z imienia Korybuta „*Michael*" wyczytała: „Jam Lech" — także ją zawiodło.

Odzywały się głosy przychylne o naprawę Rzeczypospolitej, na których czele stał Prażmowski ze swojem dziełem: „*Wywód niewinności*", napisanem z prawdziwą odwagą, ale to mało pomogło.

Potrzeba było silniejszej dłoni i dzielniejszego ducha dla Polski, niż takich królów, jacy dotąd stali na czele. Jak na nieszczęście, zabierali tron jeden po drugim — wszyscy niedołężni.

Po dłuższej dopiero przerwie, Sobieski, nieco więcej energiczny, wstąpiwszy na tron pokazał pod Wiedniem raz ostatni zwycięztwo polskiej broni. Zwycięztwo to nie zaprowadziło Polaków daleko, w niem jednak historyk może upatrywać dopiero ostateczny koniec wojen tureckich pod Cecorą i Chocimem zaczętych.

Ale krok ten zupełnie nie był politycznym i korzystnym przy ówczesnych dążnościach i stronnictwie francuzkiem dla Polski. Zawarcie przymierza z Austryą było dla Polski rzeczą zgubną. Rozumieli ten krok dobrze współcześni, widzimy nawet, że i sam Potocki to zrozumiał!

Doczekał się wprawdzie jeszcze tych chwil, kiedy po całej Europie głoszono sławę polskiego oręża, ale już milczał staruszek. Nie wziął pióra do ręki, aby zaznaczyć jakimkolwiek wierszykiem to zwycięztwo, zwłaszcza jego ulubionego pana, króla jegomości, i wolał zająć się wydawnictwem bezwartościowego dzieła, jakiem było „Poczet Herbów", niźli iść wbrew swoim przekonaniom.

Ze współczesnych sobie czasów zostawił niewielki poemacik, napisany na cześć Jana Sobieskiego, ale jeszcze hetmana koronnego — pogromcy Turków p. t. „Nowy Merkuryusz", w którym widać już że duch jego twórczy i dawna młodzieńcza nadzieja osłabły. Brak w nim werwy i animuszu wojennego. Zawiódł go i nowo obrany król Michał; z bólem też zachęca go do wypraw, ale król zawodzi starca.

Nie stój Michale — nie stój! Mars pole otworzył!
Długoż będzie pod Lublinem skubać piersie orzeł?
Pierwsze pole twej sławy puść oko po ścianach,
Przejrzyj się w Bolesławach! Zygmuntach! Stefanach!

. . . .

Niech Turczyn nie urąga językiem zuchwałym;
Wziął Stambuł—i Kamieniec weźmie pod Michałem.

Kamieniec był zabrany, a chociaż Sobieski pobił znowu pod Chocimem (11 października) wojska Husejma baszy, nie odzyskał jednak Kamieńca, gdyż niepłatność wojska i odwrót hetmana litewskiego Paca, przeszkodziły dokończyć świetnego zwycięztwa. Dopiero, po pobiciu Turków pod Wiedniem, z wielkiem usiłowaniem, wbrew niewdzięcznym zabiegom austryackim, Kamieniec został oddany Polsce.

Warszawa, w Grudniu 1880 roku.

ŻYJĄCA KSIĘGA.

Są wody, które płyną, walcząc z lodów skałą,
Są kwiaty co wonieją, gdy słońce zachodzi,
Są wulkany kipiące pod cieczą spleśniałą,
Jest rozkosz co pierś pali, gdy łza lice chłodzi.
I jest księga oparta na skrzydle przeszłości,
Kędy życie układa dziejów swoich pieśnie;
Wysnuta z dni pamiętnych w minionej wieczności,
Czytana, gdy nad życiem zaciągną się pleśnie;
Czas nie śmie ją naruszyć ogniem swego tchnienia,
Obojętne jej nigdy nie grozi wejrzenie —
Co choć dziełu ludzkiemu zguby nie zgotuje,
Duszę twórcy zwątpieniem i bólem osnuje, —
Ona uczuć skarboną i sępem sumienia,
I wiosny zmartwychwstaniem... Tą księgą: wspom- [nienie.

Romania Kamieńska.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Jedenasta biła gdy powrócili do Dettingen. Na głównym rynku rozpalone było wielkie ognisko; Benedykt wysiadł z powozu i zbliżył się do niego. Kapitan pruski chodził koło ogniska,—podszedł ku niemu. Znał on dobrze Prusaków i umiał ich sobie ująć, ilekroć nie chciał robić im na złość.

— Przepraszam, rzekł uprzejmie, ale czy zna pan kapitan barona von Below?

Kapitan spojrzał z góry na wioślarza ośmielającego się mówić do niego. (Wiemy, że Benedykt nosił podobny ubiór.)

— No znam, odpowiedział, więc cóż?

— Czy zechce pan kapitan oddać mu wielką przysługę?

— Najchętniej, jest on moim przyjacielem, ale dlaczegóż przez ciebie objawia mi to żądanie.

— Bo sam nie może opuścić Hornstein podczas nieobecności jenerała Sturm.

— O cóż chodzi?

— Baron jest nadzwyczaj niespokojny o jednego ze swoich przyjaciół, który został zabity albo raniony podczas szarży kirasyerów pruskich na most aschaffenburgski. Wysłał mnie więc wraz z kolegą moim, abyśmy na polu bitwy szukali jego przyjaciela a narzeczonego tej pani siedzącej w powozie. Wyprawiając, powiedział mi: „Oddaj tę kartkę moją pierwszemu oficerowi pruskiemu, którego spotkasz, i powiedz, że nie jest to rozkaz ale usilna prośba; wiem że przeczytawszy żaden jej nie odmówi."

Kapitan zbliżył się do ognia, wziął płonącą głownię, i przy jej świetle przeczytał co następuje:

„Poleca się pierwszemu oficerowi pruskiemu, któremu rozkaz ten doręczony zostanie, aby wykomenderował do rozporządzenia oddawcy jego dwóch żołnierzy i chirurga. Tak żołnierze jak chirurg mają udać się z tymże oddawcą na pole bitwy i wszędzie mu towarzyszyć.

W głównej kwaterze w Hornstein, jedenasta wieczór.

Z rozkazu jenerała Sturma
Szef sztabu głównego,
Baron Fryderyk von Below."

Armia pruska odznacza się dwoma wielkiemi przymiotami: karnością i posłuszeństwem, co zapewnia jej przewagę nad wielu innemi. Przeczytawszy rozkaz wyższej władzy, kapitan porzucając wyniosłą minę z jaką przemawiał do prostego jak mniemał przewoźnika:

— Hola! krzyknął do otaczających ogień żołnierzy, dwóch ochotników dla oddania przysługi szefowi sztabu głównego, baronowi Fryderykowi von Below.

Wystąpiło dziesięciu żołnierzy.

— Dobrze! ty i ty! rzekł wskazując na dwóch.

— A teraz kto jest chirurgiem kompanii?

— Pan Ludwik Wiederschall, odpowiedział ktoś.

— Gdzie mieszka?

— Tu obok, odpowiedział tenże głos.

— Uprzedzić go, że z rozkazu sztabu głównego ma zaraz wziąć udział w wycieczce do Aschaffenburga.

Jeden z żołnierzy powstał, i minąwszy plac zapukał do drzwi przeciwległego domu, — zą chwilę powrócił z chirurgiem.

Benedykt uprzejmie podziękował kapitanowi, który odpowiedział mu, iż uważa się za szczęśliwego, że może spełnić żądanie barona von Below.

Chirurg z początku był w bardzo złym humorze, że go obudzono, ale gdy przyszedłszy do powozu zobaczył w nim zapłakaną młodą i piękną kobietę, przeprosił ją najuprzejmiej, iż spóźnił się o kilka minut i sam przyśpieszał wyjazd.

Powóz posuwał się nad brzegiem rzeki, u przystani stało przymocowanych kilka statków.

Zatrzymali się; Benedykt wysiadł z powozu i krzyknął głośno:

— Fryderyk! Fryderyk!

W tej chwili człowiek jakiś podniósł się na statku, mówiąc:

— Jestem!

Lenhardt został z powozem, wszyscy zresztą zajęli miejsca na statku. W głębi chirurg i Helena, Fryderyk i Benedykt przy wiosłach, dwaj żołnierze z przodu statku. Poruszono silnie wiosłami— statek wpłynął na środek rzeki.

Tym razem trudniej było płynąć, gdyż posuwano się pod wodę, ale Fryderyk i Benedykt byli bardzo silni a przytem doskonale umieli żeglować, łódź więc posuwała się lekko po powierzchni wody, i już daleko byli od Dettingen, gdy północ wybiła na zegarze miejskim.

Minąwszy Kleim, Ostheim, Mainaschoft i Lieder, dopłynęli do Aschaffenburga. Benedykt kazał przybić do lądu nieco po za mostem, w miejscu od którego chciał rozpocząć poszukiwania.

Żołnierzom kazał trzymać zapalone pochodnie. Bitwa skończyła się dopiero z zapadnięciem nocy; rannych zaledwie zdołano zabrać, polegli jeden na drugim leżeli jeszcze na moście. Gdzie większa zaległa ciemność, potykano się o nich; w miejscach jaśniejszych widniały białe mundury.

I Karola łatwo byłoby poznać po ubiorze, gdyby leżał pomiędzy pruskiemi i austryackiemi żołnierzami; ale Benedykt nadto pewnym był tego, iż widział go walczącego po za mostem, aby miał tracić czas szukając go w pośród nich. Zeszli więc na równinę po której tu i owdzie rozrzucone były kępy drzew, a po za nią roztaczał się lasek. Noc była ciemna, bezksiężycowa, ani jedna gwiazdka nie błyszczała na niebie, zdawało się jakby dym i kurz bitwy zawisły w powietrzu, między obłokami a ziemią. Od czasu do czasu szerokie błyskawice przerzynały horyzont, jakby otwierając niezmierzone jego powieki; wtedy tryskał sinawy płomień światła, rozjaśniający przez chwilę widnokrąg, który niebawem czarniejsza jeszcze zalegała ciemność. Wówczas jedynem światłem błyskającem na lewym brzegu Menu, był odblask dwóch pochodni niesionych przez pruskich żołnierzy; two-

rzyły one jakby świetlane koło, mające z dziesięć kroków średnicy.

Helena blada jak cień, szła jakby nie czuła niczego o co potykała się na drodze, a spostrzegłszy gdziekolwiek gromadkę poległych, wyciągała ręce wskazując i wołając tylko: Tam! tam! tam!

Za zbliżeniem przekonywano się, że były to rzeczywiście ciała poległych, ale w pruskich i austryackich mundurach, a Karol, jak wiadomo, nosił mundur strzelców styryjskich.

Niekiedy znowu dostrzegano jakby cienie przesuwające się między drzewami, słyszano szybko oddalające się kroki; byli to ohydni złodzieje odzierający trupów, nędznicy włóczący się za tegoczesnemi wojskami, jak owe wilki tropiące za starożytnemi armiami, którzy uciekali spłoszeni.

Od czasu do czasu Benedykt skinienieniem wstrzymywał pochód; a gdy głębokie nastało milczenie, wołał głośno: Karolu! Karolu!

Wtedy Helena, nieruchoma jakby posąg oczekiwania, zawieszając oddech słuchała, wytężonym wzrokiem rozpatrując się dokoła. Nie odbierając choćby najciższej odpowiedzi, szli dalej nieustając w poszukiwaniach.

Chwilami znowu Helena zatrzymywała się sama niewiedząc o tem, wołając cichym głosem, jakby lękając się własnego głosu: Karolu! Karolu! Karolu!...

Dochodzili do lasku, coraz już rzadziej napotykając poległych; Benedykt znowu kazał się zatrzymać, i po raz szósty już czy siódmy wołał: Karolu! Karolu! Karolu!

Tym razem odpowiedział mu odgłos ponury i przeciągły, który najodważniejszych przejął dreszczem przerażenia.

— Co to jest? zawołał chirurg.

— To pies wyje jak na śmierć, rzekł przewoźnik Fryderyk.

— Byłżeby to?... szepnął Benedykt.

I w tejże chwili zwracając się w stronę zkąd dochodziło wycie, zawołał:

— Tędy! tędy!

I nie czekając na pochodnie, pobiegł naprzód. Stanąwszy na skraju lasu, znowu zawołał: Karolu!...

I tym razem, tylko znacznie bliżej, dało się słyszeć straszne grobowe wycie.

— Chodźmy w tę stronę! krzyknął Benedykt.

Helena prędko wbiegła do lasu, przedzierając się wśród krzaków i cierni, szła śpiesznie znacząc drogę strzępami swej lekkiej sukni. Żołnierze niosący pochodnie chcieli iść za nią; od strony rzeki słychać było kroki uciekających nędzników odzierających poległych. Pojawiające się światło spłoszyło ich i niecne przerwało zajęcie.

Benedykt skinął aby się zatrzymano, chcąc im dać czas do ucieczki, a gdy już zupełna nastała cisza, zawołał: Karolu!

I znowu odpowiedziało mu ponure i żałośne wycie, ale tym razem tak blizko, że serca wszystkich ścisnęły się boleśnie. Cofnęli się mimowolnie o jeden krok, a przewoźnik wyciągnął rękę, mówiąc:

— Wilk!

— Gdzie? zapytał Benedykt.

— Tam! powtórzył wskazując ręką. Czyż nie widzicie tych dwojga oczu jakby węgle błyszczących w ciemności?

W tejże chwili błysnęło się mocno; światło błyskawicy przedarło się przez drzewa, dojrzano wyraźnie psa siedzącego przy leżącym nieruchomie człowieku.

— Fryga, tu! krzyknął Benedykt.

Pies jednym skokiem przeskoczył przestrzeń i rzucił się na szyję swego pana, poczem wracając na swoje miejsce, zawył jeszcze więcej przerażająco jak pierwej.

— Tam jest Karol! zawołał Benedykt.

Helena pobiegła jak strzała.

— Ależ on nie żyje! zawołał z boleścią.

Helena krzyknęła i jak nieżywa padła na ciało narzeczonego.

XXX.

Ranny.

Żołnierze zbliżyli się z pochodniami; przy ich świetle skupiła się cała gromadka. Była to grupa zarazem malownicza i przerażająca.

Karol nie był odarty z ubrania jak inni polegli; pies Benedykta, który pobiegł za nim wśród boju, strzegł go i bronił.

Helena padła na niego, boleśny jęk piersi jej rozdzierał. Benedykt ukląkł obok niej, a pies łapami objął jego szyję. Chirurg stał z skrzyżowanemi na piersiach rękami, jak człowiek nawykły patrzéć na śmierć i wszystkie towarzyszące jej cierpienia i boleści; nakoniec Fryderyk stojący za krzakami, wychylał głowę przez gałęzie.

Nastała straszna dla wszystkich chwila milczenia i nieruchomości. Wtem nagle Helena zerwała się z głośnym krzykiem, z błędnem spojrzeniem, zbroczona krwią Karola. Wszyscy spojrzeli na nią.

— Ah! zawołała, ja rozum tracę!

— Co się stało? zapytał Benedykt.

— Och! nie śmiejcie się ze mnie, ale w tej chwili zdało mi się, że czułam oddech jego na mojej twarzy... Czyżby czekał mego przybycia, aby ostatnie wydać tchnienie...

— Pozwól pani, rzekł chirurg odsuwając ją lekko; ale jeżli ten którego pani nazywa Karolem żyje jeszcze, — co nie zdaje się prawdopodobnem — to nie ma chwilki czasu do stracenia chcąc go ratować.

— O! ratuj go pan! zawołała odsuwając się prędko.

Chirurg pochylił się; żołnierze zbliżyli pochodnie i można było widzieć wyraźnie nadzwyczaj bladą ale zawsze piękną twarz Karola.

Krew płynąca z rany w głowie zakrwawiła lewy policzek, i trudno byłoby go poznać, gdyby pies ciągle krwi z niego nie zlizywał. Chirurg rozwiązał najpierw chustkę na szyi, potem uniósł wyższą część ciała aby rozpiąć mundur. Ze zręcznością jaką długa tylko wprawa nadać może, przeciął na plecach mundur i kamizelkę, poczem rozdarłszy koszulę odsłonił ogromną ranę w prawej piersi rannego.

— Wody! zawołał.

— Wody! powtórzyła bezwiednie Helena, jak odzywające się echo.

Do rzeki było z pięćdziesiąt kroków. Fryderyk pobiegł, zaczerpnął wody w dzbanek, który miał w łodzi i przyniósł niebawem. Helena podała swoją chusteczkę. Benedykt podtrzymywał rannego, a chirurg umoczywszy chusteczkę zaczął obmywać ranę. Po chwili spostrzegł przyschłą krew na ramieniu, tak więc było aż trzy rany. Najlżejszą była zadana w głowę; skóra tylko była zdarta, ale kość nienaruszona. Rana w piersi była bardzo głęboka; szabla kirasyerska weszła o trzy cale nad obojczykiem i przeszła na wylot po nad kością łopatkową. Najgroźniejszą jednak była trzecia zadana w prawą rękę, gdyż tu arterya była przecięta.

A jednakże ta rana ocaliła rannego. Ogromna utrata krwi sprowadziła omdlenie, podczas którego krew płynąć przestała.

Przez cały czas bolesnego tego badania, Helena nieustannie powtarzała pytanie:

— Czy żyje? czy żyje? czy żyje?...

— Zobaczymy, odpowiadał chirurg.

Wziąwszy lancet otworzył zwierzchnią żyłę prawej ręki; z początku krew nie szła z powodu omdlenia, ale gdy nacisnął żyłę, popłynęła kropelka krwi ciepłej i czerwonej. Więc życie nie zamarło jeszcze.

— Żyje! rzekł chirurg.

Helena krzyknęła i padła na kolana.

— Co trzeba robić, aby go otrzeźwić? zapytała.

— Najpierw związać przeciętą arteryę, odrzekł chirurg. Pozwoli pani przenieść go do ambulansu?

— O nie! nie! zawołała; nie chcę ani na chwilę z nim się rozłączyć... Czy nie możnaby przenieść go do Frankfurtu?

— Wodą możnaby spróbować. Przyznaję nawet, że skoro ranny tak blizko panią obchodzi, wolałbym, aby kto inny dokonał tej trudnej operacyi. Jeżli więc ma pani do rozporządzenia jaki szybki i wygodny statek...

— Jest mój, rzekł Fryderyk, a jeżli pan ten — tu wskazał na Benedykta — zechce mi pomagać tak jak w tę stronę, zaręczam że za trzy godziny będziemy w Frankfurcie.

— Tak, kwestya tylko czy po takiej utracie krwi, ranny żyć będzie jeszcze trzy godziny, rzekł chirurg.

— O Boże mój! Boże! wołała Helena.

— Cała ziemia krwią przesiąkła, rzekł chirurg wskazując.

Krzyk boleści wydarł się z piersi Heleny; załamała ręce.

Tak rozmawiając, naprzemian uspokajający i przerażając Helenę, jednocześnie z zimną krwią, właściwą ludziom przywykłym igrać ze śmiercią, chirurg opatrywał obie strony rany zadanej w piersi, założył szarpie i obandażował.

— Obawiasz się pan czy nie zawiele krwi utracił, ileż można jej utracić nie tracąc zarazem życia? zapytała Helena.

— To rzecz względna. Człowiek tak silnie zbudowany jak ranny, którego opatruję w tej chwili, może mieć dwadzieścia cztery do dwudziestu pięciu funtów krwi w ciele — mógłby utracić część czwartą, ale broń Boże więcej.

— Powiedz pan czego mam się spodziewać lub obawiać.

— Możesz pani mieć nadzieję, że ranny utracił mniej krwi niż mi się zdaje, że żywy zostanie dowieziony do Frankfurtu, gdzie jakiś bardzo dobry chirurg podwiąże mu arteryę. Obawiać się zaś należy powtórnego krwotoku dziś jeszcze, lub za dni ośm lub dziesięć.

— Ale można go jeszcze uratować?

— Natura posiada tak niewyczerpane zasoby, odpowiedział.

— A więc nie traćmy ani chwili! zawołała Helena.

Benedykt i chirurg wzięli pochodnie, a żołnierze przenieśli rannego na wybrzeże. Chirurg udał się do Aschafenburga gdzie kupił materac i kołdrę, które Fryderyk przyniósł za nim. Ułożono rannego na tyle statku.

— Czy mam próbować trzeźwić go, czy pozostawić w stanie omdlenia?

— Daj Boże, aby zemdlenie trwało nietylko

przez czas przeprawy, ale i podczas zawiązywania arteryi, bo wtedy mógłby być uratowanym. Obecnie zemdlenie powstrzymuje krwotok.

Wszyscy weszli do łodzi.

Żołnierze pruscy stali trzymając pochodnie, Helena klęczała, chirurg podtrzymywał rannego, Benedykt i Fryderyk wiosłowali. Fryga, nie pyszniący się wcale ważną rolą jaką odegrał w tej sprawie, siedział z przodu statku, wodząc dokoła swemi błyszczącemi oczami.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

(Dalszy ciąg.)

AKT II.

(Też same dekoracye co w akcie pierwszym.)

Scena pierwsza.

SAINT-RÉAULT, BELLAC, TOULONNIER, ROGER, PAWEŁ RAYMOND, PANI de CÉRAN, PANI ARRIEGO, PANI de LOUDAN, KSIĘŻNA, ZUZANNA, ŁUCYA, JOANNA.

(Wszyscy siedzą, otaczając Saint-Réault'a, który kończy czytanie.)

Saint-Réault. I proszę się nie mylić. Jakkolwiek te legendy mimo swej dziwaczności, wydają się tak głębokie, przecież są one jak pisał znakomity ojciec mój w roku 1834, zaledwo dowodem słabej wyobraźni w porównaniu z pomysłami nadludzkiemi braminów, zebranemi w Upaniszhas, lub też w ośmnastu Paranach Wyazy, kompilatora Wedów.

Joanna (do Pawła, po cichu). Śpisz?

Paweł. Nie... nie... słyszę jakeś brzęczenie.

Saint-Réault (mówiąc dalej). Takiem jest mówiąc jasno *concretum* doktryny buddystycznej, i temto właśnie chciałem zakończyć.

(Szmer, wszyscy powstają.)

Kilka głosów (słabo). Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Saint-Réault. A teraz...

(Nagłe milczenie; wszyscy zabierają się do siadania.)

Saint-Réault. A teraz (kaszle).

Pani de Céran. Panie Saint-Réault, jesteś zmęczony!

Saint-Réault. Ani trochę.

Pani Arriego. Jesteś, jesteś pan zmęczony, zaczekamy.

Kilka głosów. Odpocznij pan sobie, odpocznij.

Pani de Loudan. Niepodobna szybować zawsze po obłokach, zejdź baronie trochę na ten padoł.

Saint-Réault. Dziękuję, ale... zresztą skończyłem już.

(Wszyscy powstają.)

Kilka głosów (wśród szmeru i wrzawy). Bardzo zajmujący! trochę ciemny! bardzo dobrze! zadługo.

Bellac (do dam). Zanadto materyalistycznie...

Paweł (do Joanny). Fiasco jak na scenie!

Zuzanna. Panie Bellac!

Bellac. Pani!

Zuzanna. Zbliż-że się pan do mnie.

(Bellac podchodzi.)

Roger (po cichu). Ciociu!

Księżna (tak samo). Ona tak wygląda, jakby to robiła umyślnie.

Sint-Réault (powracając). Jeszcze tylko słówko, (Zadziwienie — wszyscy siadają z zrezygnowanem milczeniem,) a raczej, chcąc się lepiej wyrazić: jedno życzenie. Te studya, które pomimo zakreślonych granic i lekkiej formy zastosowanej do moich słuchaczy...

Księżna (na str.). To mi grzeczność!

Saint-Réault. ...Pozwalały jednak, zdaje mi się dostrzedz, olbrzymią swą doniosłość, — te studya, powtarzam, miały w roku 1821, czyli lat temu blizko sześćdziesiąt, za inicyatora... człowieka geniusza, którego być synem ja mam zaszczyt, przyznaję uciążliwy, bo obowiązujący...

Paweł (do Joanny). Uważasz jak wyzyskuje nieboszczyka.

Saint-Réault. W kierunku, który on wytknął, poszedłem ja, i śmiem twierdzić, nie bez zwrócenia uwagi. Inny wreszcie po nas, usiłował tak jak my, wydrzeć kilka słów wiecznej prawdy sfinksowi, aż dotąd nieprzeniknionemu, teogonij pierwotnych... mówię tu o Revelu, uczonym, poważnym, człowieku prawym. Mój znakomity ojciec już nie żyje, Revel wkrótce położy się w grób... jeżeli nie już się położył. Ja więc sam tylko pozostanę na tej ziemi nowej nauki, której pierwszym zdobywcą był Wilhelm Gabriel de Saint-Réault, mój ojciec. (Patrząc na Toulonniera.) Oby nasi rządzący, oby depozytaryusze i rozdawcy władzy, do których należy niebezpieczne posłannictwo, wybrania następcy po koledze, którego nam jutro opłakać przyjedzie; oby ci ludzie wybitni (patrząc na Bellac'a rozmawiającego z Toulonnierem) na przekór prośbom mniej lub więcej uzasadnionym, tych którzy ich oblegają, uczynili wybór światły, bezstronny, i zdecydowani jedynie przez potrójną powagę: wieku, zdolności i praw nabytych, uczynili, krótko mówiąc, wybór godny mego znakomitego ojca i godny wielkiej nauki, będącej jego dziełem, a której ja—powtarzam to — jestem jedynym dziś przedstawicielem.

(Wszyscy wstają, oklaski, wielkie poruszenie i wrzawa w salonie; służący wchodzą i obchodząc niosą tacę, a podczas tego słychać znów wrzawę, głosy wyraźne.)

Bardzo dobrze, bardzo dobrze, brawo!

Paweł. To już daleko zrozumialsze.

Pani de Céran. Jest to kandydatura do sukcesyi Revela.

Bellac. Do Akademii, do młodej szkoły, do wszystkiego?

Pani de Céran (na str.). Domyślałam się trafnie.

Służący (anonsując). Jenerał hrabia de Briais! pan Virot!

Jenerał (całując rękę pani de Céran). Witam panią hrabinę.

Pani de Céran. A! pan senator!

Virot (całując rękę pani de Céran). Padam do nóżek pani hrabiny!

Pani de Céran (do Virota). Panie pośle, niestety przychodzisz pan zapóźno.

Jenerał (wesoło). Zawsze zapóźno przychodzi się do twego salonu, hrabino.

Pani de Céran. Dosyć powiedzieć, że pan Saint-Réault miał odczyt.

Jenerał (do Saint-Réault'a kłaniając mu się). Jakże żałuję!

Virot (biorąc pod ramię jenerała i idąc z nim na lewo). Zatem jeżeli Izba zawotuje prawo, wy go odrzucicie?

Jenerał. Z pewnością... przynajmniej za pierwszym razem. Cóż u dyabła, przecież senat tyle przynajmniej pozwolić sobie może!

Virot. Ah, księżno! (Idzie powitać ją — Paweł Raymond i Joanna wymykają się z salonu do ogrodu.)

Pani de Céran (do Saint-Réault'a). Przyznać trzeba, że pan dziś przewyższył samego siebie.

Pani Arriego. W samej rzeczy, przewyższył. Trudno o słuszniejszą pochwałę.

Pani de Loudan. O baronie, baronie! Jakieżeś przed nami odsłonił światy i jakże zdumiewające mi są te pierwsze jąkania się wiary. A ta pańska trójca buddystyczna... Nie wiem jak innych, ale mnie zdobyłeś i pokonałeś najzupełniej.

Łucya (do Saint-Réault'a). Przebacz pan mojej śmiałości, ale zdaje mi się, że w pańskiem wyliczaniu ksiąg świętych jest pewna niedokładność.

Saint-Réault (dotknięty). Tak się pani wydaje?

Łucya. Nie słyszałam, iżbyś pan przytoczył Mahabaratę i Ramajanę.

Saint-Réault. Z tej przyczyny, że nie są to księgi objawienia, ale proste poematy, które przez swą starożytność, stały się wprawdzie przedmiotem czci dla innych, lecz powtarzam, są tylko prostemi poematami.

Łucya. Jednakże Akademia w Kalkucie...

Saint-Réault (ironicznie). Jest to przynajmniej przekonanie braminów... jeżeli pani ma jeszcze inne...

Zuzanna. Panie Bellac!

Bellac. Pani!

Zuzanna. Proszę mi podać rękę — chciałabym się przejść trochę...

Bellac. Ależ... proszę pani...

Zuzanna. Nie chcesz pan?

Bellac. Pani uważasz... że w takiej chwili?...

Zuzanna. Chodźżeż pan!... (pociąga go za sobą, wychodzą.)

Roger. Wyszła z nim.

Księżna. Więc idź za nimi. Zaczekaj, pójdę z tobą. I tak czuję potrzebę poruszyć się trochę, bo ten stary bonza uśpił mnie swojemi braminami. (Wychodzą.)

Toulonnier (do Saint-Réaulta). Pełno nowych poglądów nacechowanych erudycyą... (Po cichu.) Doskonale zrozumiałem alluzyą końcową kochany baronie, ale była ona wcale niepotrzebną. Wszak wiesz dobrze, że wszyscy jesteśmy za tobą. (Ściskają się za rękę.)

Pani de Céran (do Saint-Réaulta). Przepraszam. (Do Toulonniera.) Nie zapominasz pan o moim synu?

Toulonnier. Nie zapominam ani o tej obietnicy, ani o twojej hrabino.

Pani de Céran. Będziesz pan miał swoich sześć głosów w senacie—rzecz skończona, ale i to rzecz musi być skończona, że natychmiast po złożeniu przez niego referatu...

Toulonnier. Hrabino, wszak wiesz dobrze, że jesteśmy wszyscy za tobą.

Paweł (do Joanny powracając ukradkiem z ogrodu). Powtarzam ci, że nas widziano.

Joanna. Zaciemno jest pod drzewami.

Paweł. Już przed obiadem mało nas nie złapali. Dwa razy to za dużo. Nie chcę już więcej.

Joanna. Czyś mi nie przyrzekł, że mnie będziesz całował po kącikach i kurytarzach? tak czy nie?

Paweł. A ty chcesz być prefektową, tak czy nie?

Joanna (żywo). Tak, ale nie chcę być wdową.

(Pani de Céran zbliża się do nich.)

Paweł (po cichu do Joanny). Hrabina! (Głośno.) Doprawdy Joanno wolisz Bagawata...

Joanna. Ależ mój mężu, Bagawata...

Pani de Céran. Co, co? pani zrozumiałaś trochę tej umiejętności — tembardziej, że mój Saint-Réault wydawał mi się dziś wieczór niezwykle ciemny i rozwlekły...

Paweł (na stronie). Konkurencya!

Joanna. Przy końcu jednak, pani hrabino, stał się cokolwiek jaśniejszy.

Pani de Céran. Ah! jego kandydatura! Pani zrozumiałaś?

Joanna. A potem umiejętność odpychająca wiarę, nie potrzebujeż i ona sama, ażeby w nią trochę wierzono?!

Pani de Céran. Bardzo ładnie, muszę państwa poznać z kimś, który wam może być bardzo pożyteczny: z jenerałem de Briais, senatorem.

Joanna. A poseł, pani hrabino!

Pani de Céran. O! senator ma więcej władzy.

Joanna. Ale poseł może ma więcej wpływu?

Pani de Céran. Przyznać muszę panie Raymond, żeś uczynił wybór szczęśliwy... (Ściskając rękę Joanny.) I ja także. (Do Joanny.) A więc dobrze, z obydwoma.

Paweł (idąc za Joanną i panią de Céran). Anioł! prawdziwy anioł.

Joanna A pójdziemy na kurytarz?

Paweł. Tak, ale gdy się zbierze więcej osób... O! podczas tragedyi.

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

(Dalszy ciąg.)

Od złota przejdźmy do ślicznych wyrobów bronzowych z XVIII i początku XIX stulecia, kiedy najwięcej lubowano się i wysadzano na podobne przedmioty. W owych czasach zbytku i wykwintu weszły w użycie wyroby ze złoconego bronzu, jak: zegary, kandelabry, świeczniki, wazony i przeróżne t. p. ozdoby, bogato dekorowane, inkrustowane szyldkretem, perłową konchą i oprawiane w kosztowne bronzowe ramy, jakie przedstawione były na wystawie. Czuć w nich echa starożytnego świata, nad którym jednakże zapanowało ówczesne upodobanie w pasterzach i pasterkach. Tak więc mitologia uplastyczniona w owych bronzach, mimowoli zdradza wpływ sielankowości XVIII w. Jednak mimo to wiele okazów mogłoby służyć za wzór do naśladowania dla dzisiejszych bronzowników, jak między innemi: zegar ścienny, bronzowy złocony (cortel) z figurami na wierzchu, styl z czasów Ludwika XV, wyrób francuzki; dwa kandelabry z bronzu złoconego, w postaci starożytnego trójnogu, środek porfirowy, zakończone bukietami z kwiatów i z liści,—wyrób francuzki z epoki Ludwika XVI; dwa kandelabry stojące, z bronzu złoconego, w stylu *rococo*, z epoki I-go cesarstwa; cztery prześliczne lichtarze z bronzu złoconego, których górną część tworzą trzy karyatydy podtrzymujące świecznik, podstawa przyozdobiona z wielkim smakiem motywem liści akantusowych i sznurem złocistych pereł — świeczniki te są jakby odtworzeniem starogreckiej plastyki. Ładne bardzo są dwa świeczniki w kształcie urn marmurowych, oprawnych w bronz złocony, jako też dwa kandelabry z porfiru i złoconego bronzu, w guście bardzo pięknych amfor, formą zupełnie naśladujące antyki.

Któż nie zwrócił uwagi na przepyszną nadzwyczaj bogatą zastawę stołową, prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju, której pod względem wytworności smaku i misternej roboty nic zarzucić nie można. Zastawa ta wykonana jest w stylu I-go cesarstwa, obejmuje pięć tafli źwierciadlanych, bogato dekorowanych figurami, karyatydami dźwigającemi kosze, amorkami podtrzymującemi świeczniki, otoczonemi dokoła artystycznie wykonaną galeryjką, na której w sylwetkach płaskorzeźbowych przedstawione są sceny mitologiczne. Jest to utwór w stylu form klasycznych, najpiękniejszy z okazów tego rodzaju znajdujących się na wystawie. Zastawa ta składa się z 31 sztuk, jest to wyrób francuzki, własność p. Epsteina.

Bardzo mało jest okazów dawnego bronzownictwa krajowego; widać tak dwór królewski jak magnaci polscy podobne wyroby spowadzali z zagranicy. Były jednak dwa zegary ścienne wyrobione w Polsce w XVII wieku; jeden wytłaczany i grawirowany w guście *rococo*, nieodznaczający się wykwintnością; drugi ścienny, okrągły, na cyferblacie którego wyrobiony jest hołd Magów, wypukły i grawirowany,—ten już odznacza się prawdziwie artystycznemi zaletami. Na werku napis: „Marcus Meyer fecit, Lublin”. Dalej dwa bronzowe piórniki z kałamarzami, z tych jeden emaliowany, palestrantów polskich; wyrób krajowy z XVII w. Była także bronzowa klamra do pasa, z popiersiem Jana III i z herbami Polski i Litwy, ale niewiadomo gdzie wyrobiona.

Przedstawione także były okazy bronzów japońskich i chińskich, odznaczające się raczej dziwacznością pomysłów niż estetycznym smakiem. Z figur bronzowych mitologicznych odznaczały się najwięcej cztery figury złocone, pokryte draperyą z oniksu wschodniego, jak można wnosić z pewnych cech stylowych, pochodzące z XVII lub początku XVIII stulecia.

Z pomiędzy wazonów z bronzu, marmuru i kamieni, najpiękniejsze były z epoki cesarstwa, odtwarzające styl i formy antyków, patern, urn i amfor, od których nic piękniejszego dotąd nie wymyślono. Do najcelniejszych okazów należał między innemi wazon z ciemnego bronzu, gustownie wyrobiony, i trzy wazony także z ciemnego bronzu, bardzo pięknie dekorowane wieńcami. Powszechnie zwracały uwagę kształtemi wykończeniem, dwa wazony marmurowe oprawne w bronz złocony, przedstawiające pochód Bachusa, w stylu I-go cesarstwa, i nareszcie garnitur z sinego marmuru, z bronzami złoconemi, zegar i dwie lampy, wyrób francuzki nowożytny, w stylu Ludwika XVI.

Dział ten bardzo bogato przedstawiony był na wystawie, być więc może żeśmy pominęli wiele godnych wzmianki przedmiotów i wzorów, z których przemysł nasz mógłby i powinien korzystać, ale w takim natłoku niepodobna dostrzedz wszystkiego.

Wyroby z miedzi, mosiądzu, cyny, kamienia i żelaza nader nielicznie były przedstawione i nie odznaczały się wogóle większemi zaletami. Co do wyrobów z drzewa, pomiędzy niemi były okazy zajmujące, nacechowane artystyczną lub historyczną wartością. Jak np. tabakierka bukszpanowa w złotej oprawie, utoczona własnoręcznie przez Tadeusza Kościuszkę, z napisem wewnątrz: „Tadeusz Kościuszko, naczelnik najwyższej siły zbrojnej narodu; w upominku własnoręcznie utoczył dla Stefana Sokołowskiego, w 1803 roku”, oraz talerz płaski drewniany, brzeg zdobny cyną wpuszczaną w drzewo, w kształcie wieńca uwitego z listków i podwójnie splecioną cyfrą J. K. a nad nią korona szlachecka. Według podania, talerz ten miał należéć do Jana Kochanowskiego. Kalendarz polski srebrny, oprawny w heban, z XVII wieku; piórnik palestrancki hebanowy; kałamarz i spód piórnika w kość a wierzch w bronz oprawne, z XVII wieku. Laska marszałkowska z drzewa hebanowego, inkrustowana kością i srebrem na obu końcach, okuta srebrem z herbem Ogończyk.

Pieczęci tylko kilka okazów: Pieczęć kanclerska w srebrnej złoconej oprawie, dana przez Zygmunta III księciu Albrechtowi Radziwiłłowi; sześć pieczątek Radziwiłłów z XVII wieku, oprawne w srebro, i nakoniec pierścień z pieczątką Stanisława Augusta, wyrób krajowy z 1793 roku.

Kamei i broszy jest bardzo mało okazów, z tych najgodniejsza wzmianki Głowa Jana III, kamea, robota z XVIII w.

Z nader nielicznych okazów medali, najgodniejsze widzenia: Projekt do medalu na pamiątkę konstytucyi 3 maja, wykonany z wosku p. Holhausera; wielki medal bronzowy z popiersiem Leopolda I, króla Belgów, największy z istniejących medali; medal srebrny z popiersiem Augusta II.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta”. — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Pan Michał jest człowiekiem rozsądnym, pojmuje więc łatwo, że panna tak ogromnie bogata ma prawo być brzydką a nawet kaleką, wystawia ją więc sobie garbatą, kulawą, zezowatą. To go nie odstrasza, był bowiem przyzwyczajony do myśli, że byle z posagiem ożenić się bogdaj z poczwarą, przecież skoro spotyka Salomeję i widzi że jest to zgrabna i bardzo przystojna blondynka, wdzięcznym jest jej za tę piękność jak za łaskę na którą nie rachował wcale i z tego powodu robi na nim daleko większe wrażenie, niżby w każdym innym razie zrobiła. Słowem stała się rzecz niepodobna i pan Michał ani się spostrzegł, jak się w niej zakochał. Miał przecież do tego wszelkie prawo i właśnie miłość ta zdawałaby się z pozoru rzeczą arcypożądaną, jednakowoż fakta pokazały, że w każdym interesie pierwiastek sercowy gmatwa sprawy fatalnym sposobem, albowiem przy bliższem rozpatrzeniu posag panny Salomei, zmniejszał się właśnie w stosunku prostym, w którym jego miłość wzrastała.

Koniec końców, jakkolwiek posag ten stanął na niezmiernie skromnej cyfrze 30 tysięcy złotych, nie reńskich ale polskich, a nadzieje w przyszłości zeszły do zera, pan Michał się z nią ożenił i postanowił zamiast w dostatkach i bezczynności, wieść pracowite i skromne życie. Dobre pierwiastki zgłuszone i zanegowane odezwały się nagle, pan Michał okazał się stokroć lepszym i szlachetniejszym niż nawyknienia i zamiary, a matka, pomimo iż małżeństwem tem niweczył wszystkie jej nadzieje, pobłogosławiła go ze łzami, ciesząc się szlachetnem postanowieniem syna.

Gdyby na tem kończyła się powieść, byłby to niezmiernie udatny obrazek, odsłaniający nasze

szlacheckie życie i przywary w sposób pełen prawdy i humoru ale niepozbawiony sympatyi. Jakże tu wybornie są przedstawione rozmaite typy, niektóre coraz więcej należące do przeszłości, jak wuj Felicysym, który przekonany o swojej własnej mądrości tak zawsze wszystko mądrze obmyślał i układał, że pomiędzy szczęściem a nim istniała tylko ta przestrzeń, jaka czarę od ust oddziela i to nie raz ale kilkanaście razy w życiu, a jednak nigdy się tej czary nie dotknął i nigdy się nie domyślił, że wszystkim niepowodzeniom winne było jego własne niedołęztwo, ale przeciwnie, miał się sam za bardzo przebiegłego człowieka a nietylko on sam, ale i nikt z otaczających o jego zdolnościach nie zwątpił. Aż wreszcie, gdy uderza w niego cios ostatni fatalne małżeństwo Michała, pada rażony apopleksyą powtarzając, że już na świecie niepotrzebny bo zrozumiał że on to głównie jest tego nieszczęścia powodem.

Rzeczywiście dla rodziny pana Michała małżeństwo to jest nieszczęściem, skazuje ją na nędzę. Mając odpowiedzialność za los tylu osób, nieuzdolniony do żadnej pracy, bohater nasz był niejako zaprzedany z góry, a dając folgę sercowym pierwiastkom przeniewierzał się swoim najbliższym i całej przeszłości własnej; był to krok szlachetny ale nieobrachowany, krok, którego w tych okolicznościach nie miał prawa uczynić, wedle ścisłych zasad uczciwości, bo ten tylko może rozporządzać jutrem kto to jutro zdobyć potrafi. Autor głęboko obmyślił to położenie fałszywe, wytworzone szeregiem błędów, które koniecznie zaciężyć musi na całej przyszłości bohatera i najlepsze pierwiastki przeciwko niemu obrócić.

To też powieść nie kończy się małżeństwem pana Michała; małżeństwo to jest raczej wstępem do powieści drugiej, w której widzimy następstwa tego nieobrachowanego kroku.

Pan Michał kochał całem sercem Salomeję i żeniąc się z nią rozumiał, że popełnia zbytek, który mu wszystkie inne niemożliwemi uczyni. Ponieważ małżeństwo to stanowiło zarazem bankructwo, należało ułożyć życie zgodnie z nowem położeniem.

Tutaj właśnie istniała największa trudność, należało bowiem stare nawyknienia i zwyczaje przykroić do nowych potrzeb, i to nie gdzieś daleko ale w tem samem miejscu, gdzie wszystko ułożyło się już do pewnego trybu.

Stary, wielki, okazały dwór chylił się oddawna do upadku i oczekiwał posażnej pani, któraby podparła jego ściany i pokryła je nową szatą. Pan Michał czuje że Salomeja tego uczynić nie może i wyrzeka się starego dworu bo zbyt wspaniały na ubóstwo swojego właściciela; zamiast kosztownych napraw restauruje więc szczupłą oficynkę, którąby mała służba w porządku utrzymać mogła, i tam wprowadza swoją żonę. Stosownie do tego, dalej urządza dom, zmniejsza stopę wydatków, redukuje konie, słowem odcina z życia wszelki zbytek.

Nie dzieje się to jednak bez wielkiego bolu i pewnych rwań wewnętrznych; dziwić się temu nie można, to co czynił pan Michał było w sprzeczności z jego wychowaniem, charakterem, usposobieniem a wreszcie w sprzeczności ze światem jaki go otaczał. To też zamiast zachęty, spotykał tylko szyderstwo, cichą opozycyą, lub jawne przeszkody, a pan Michał odziedziczył po licznym szeregu przodków tę miękkość charakteru, która każde wytrwanie tak trudnem czyni.

To też dziwić się nie można, że we wszystkich swoich zamiarach nie wytrwał.

Z razu chciano tylko grać przed światem komedyą dostatku, aż wreszcie samą siłą rzeczy i nawyknień dawnych, komedya zamieniła się w rzeczywistość, ku czemu przyznać trzeba, Salomeja stanowczo używała miłości jaką mąż miał dla niej. Nie pragnęła ona nigdy nic dla siebie, niczego nie żądała przestawała niby na najskromniejszem, ale w rezultacie świat i jego wymagania znajdowały w niej najwierniejszego sprzymierzeńca.

Tym sposobem odbyto podróż za granicę, zupełnie nieodpowiednią położeniu majątkowemu młodego stadła, a później potrosze powrócono do dawnego trybu życia, z tą tylko różnicą, że wprzódy rachowano na bogate małżeństwo Michała, które załatać miało szczerbę jaką życie nad stan sprawiało w fortunie, a teraz nie rachowano już na nic, tylko odurzano się jak skazany przed śmiercią, starając się już jedynie o przedłużenie konania.

Część ta książki jest wysoce komiczną ale ten komizm ma razem bolesne oddźwięki. Widok człowieka szlachetnego pomimo demoralizujących wpływów jakie otaczały go od dzieciństwa, rozumnego pomimo głupoty otoczenia, który pojmuje jasno swoje położenie a pomimo to, z powodu słabości charakteru a nawet szlachetnych pobudek przywiązania do żony, uległości względem starszych, stacza się w przepaść bankructwa, stanowi rzeczywiście tragiczny temat, jakkolwiek autor wprowadził tu niezmiernie śmieszne typy i epizody i to bez żadnej karykaturalnej przesady. Pani Irena, jej ojciec, radca prawiący nieustanne morały szlachcie za życie nad stan, a sam wymagający rozmaitych kosztownych potraw i napojów, cała ta kolonia mieszkańców miasta, która nie pojmuje trudności gospodarczych ani kłopotów małej fortuny, żądna spacerów i sielskich zabaw, w czasie gdy pora wymaga całej forsy i uwagi gospodarza, stanowi wyborne studyum z natury i wyświeca owe zupełne niezrozumienie warunków wsi i wiejskiego życia, które jest obecnie charakterystyczną cechą większej części inteligencyi miejskiej.

Nadewszystko smutne niedobory narodowego usposobienia odmalowane są z niezmierną psychologiczną prawdą w najdrobniejszych szczegółach. Pan Michał wbrew przysłowiu, które twierdzi, że Polak jest mądry po szkodzie, kilka razy przechodzi jednakie koleje a nigdy mądrym w praktyce stać się nie może. Z dziedzicznego majątku przechodzi na dzierżawę, z dzierżawy na rządcostwo, i to zawsze z najlepszemi zamiarami oszczędności pracy i skromnego życia. I trwa w nim dopóty dopóki zbliżenie z ludźmi nie wywoła tej chęci wyrównania sąsiadom, pokazania swojej gościnności a raczej pokazania się, która była dziedzicznym nałogiem tak Michała jak Salomei.

Tym sposobem powieść ta nabiera społecznego znaczenia chociaż jest to tylko wierna z natury wzięta a zupełnie bezpretensyonalna historya jednej rodziny. Talent autora subtelny czasem aż do drobiazgowości, tutaj nadał się wybornie do analizowania i oddania owych niezupełnie sformułowanych uczuć i myśli, owych przejść niewyraźnych, na których właśnie opiera się cała powieść a głębokie jej znaczenie wychodzi tem dobitniej przy lekkiem humorystycznem traktowaniu. Można z niej było bardzo łatwo zrobić nudną moralizującą gadaninę, któraby odebrała jej całą wartość. Autor z wielką zręcznością uniknął tego szkopułu, o który niezawodnie byłby się rozbił mniej wytrawny talent i stanął na tem objektywniejszem stanowisku, że nadał jej tok opowiadania i zrobił pana Michała swoim własnym historyografem.

Biedny, zacny, nieoszacowany pan Michał; los jego budzi tem większe współczucie, że jest losem wielu, że w jego kłopotach, przejściach, pokusach i upadkach widzimy dolę wielu i jako spokrewnieni z nim mniej więcej duchem jako dzieci jednego kraju, jednych tradycyj, jednych nawyknień odczuwamy ją sami.

Pan Michał nie był żadnym bohaterem, zbrakło mu siły, ażeby płynąć przeciw wodzie, a jeśli usiłował to uczynić od czasu do czasu, zawsze w końcu ulegał prądowi. W podobnych razach grzech jednostki spadać powinien na ogół, który tutaj jest współwinnym, gdyż grzechowi temu daje podnietę, zachętę i poklask. Tym sposobem powieść Zacharyasiewicza równie właściwie nazwaćby można grzechem pana Michała, albowiem rzeczywiście w jego położeniu i z jego charakterem niewolno mu było iść za głosem serca; postępek jego ma następstwa grzechu.

Skoro bowiem nie miał potrzebnej siły do torowania sobie dróg nowych i postawienia się niezachwianie na raz obranem stanowisku, trzeba mu było we wszystkiem trzymać się utartych szlaków i nie popełniać sercowego wybryku. Małżeństwo więc to było jego grzechem, bo nie harmonizowało z warunkami otoczenia i charakteru, było krokiem samoistnym wychodzącym po za powszednią normę po za którą w postępowaniu pan Michał nie był w stanie przekroczyć.

Słowem z którejbądź strony spogląda się na ten wyborny utwór, dostrzega się coraz więcej w nim stron dodatnich, tak iż śmiało powieść tę postawić można pomiędzy najlepszemi, jakie kiedykolwiek wyszły z pod pióra Zacharyasiewicza. Jest w niej dziwny takt, miara, harmonia, tchnienie talentu i opracowanie bez zarzutu.

(D. n.)

KORESPONDENCYA
O UBIORACH.

Spa, 1 Września 1881 r.

Korespondencyą dzisiejszą wyprawiamy ze Spa, jednej z najwykwintniejszych stacyj leczniczych w Europie. Angielki, Niemki i Francuzki współzawodniczą tu o pierwszeństwo w strojach: nie potrzebujemy dodawać, że Paryżanki tryumfują wyłącznie na tem polu. Jedne tylko Warszawianki, mogłyby współzawodniczyć z niemi, ale ich liczba nadzwyczaj tu ograniczona.

Zacznijmy od ogólnych uwag: w kolorach sukien przemaga błękitny w rozmaitych odcieniach, zacząwszy od blado niebieskiego do ciemno szafirowego (bleu marin), kolor ciemno *caroubier*, używa też niemałej wziętości, zwłaszcza pomieszany z srebrno-popielatym lub szaro-złotawym *(viel-or)*. Z powodu częstej niepogody, wiele widać kostiumów czarnych, z indyjskiego kaszmiru, ozdobionych aksamitem i pasmanteryą z lawy. Aksamit przyjęty będzie powszechnie do ozdoby jesiennych sukien — okładają nim wszelkie tkaniny wełniane, dodając do tego grubą ażurową koronkę białą, która położona na aksamicie bardzo ładnie wygląda.

Co do okrywek, najwięcej widać długich płaszczyków, bądź jedwabnych bądź kaszmirowych, ogarnirowanych rzęsisto czarną hiszpańską błądyną. U szyi kilkanaście razy dane przemarszczenie, tworzy jakby okrągły karczek. Niżej bryty puszczone wolno, sięgają za kolana, prawie do kostek.

Rękawki małe, przymarszczane jak u wizytki, po-

krywają rękę ledwie do łokcia. Tylny bryt rozcięty od dołu, na pięć ćwierci w górę; na tym rozcięciu nagarnirowana blądyna. Poniżej stanu w tyle, idzie wielka kokarda płaska, atłasowa. W górze na plecach, garnirunek z blądyny, tworzy długi szpiczasty kapturek. Przody z obu stron naszyte blądyną odwracaną *(en coquille)*, u dołu dwa lub trzy rzędy blądyny, dane raz nad razem bez odstępu.

Najstrojniejsze płaszczyki tego rodzaju, robią z czarnej materyi w wielki czarny deseń, lub też z czarnego atłasu. Podszewka do nich czarna fularowa, blado lilla, lub caroubier. Między wierzchem a podszewką idzie zazwyczaj flanelka a niekiedy lekka wata. Skromniejsze płaszczyki z kaszmiru indyjskiego zdobią także blądyną hiszpańską i atłasową kokardą w tyle.

Kapelusze co do formy odznaczają się wielką rozmaitością, najwięcej widać w formie budek, zachodzących na czoło, rondka podszyte zwykle czarnym lub ciemnym aksamitem; wierzch ugarnirowany rzęsisto czarną blądyną, lub też białą koronką, w tem tylko wszystkie zbliżone do siebie, że przybrane z boku wielkiemi bukietami z róż, bratków, lub astrów różnobarwnych. Kwiaty u kapelusza bywają zwykle w jednakim gatunku, ale w rozmaitych odcieniach.

Obok słomkowych, pojawiają się już w wielkiej liczbie, kapelusze kastorowe w kolorach: czarnym, śmietankowym, wydrowym lub ciemno szafirowym; forma ich rozmaita: najwięcej widać okrągłych, podniesionych w górę z jednej strony, przybranych długim piórem w odpowiednim kolorze.

Szarfy do sukien, zaniedbane od lat kilku, znów wracają do mody. Nie używają ich jak dawniej do opasania stanu, przypinają tylko na karczku, ogromną płaską kokardę z końcami. U innych sukien widzimy znów szarfy dość wązkie, przyszyte do boków stanika, te odwracają się do przodu i wiążą na kokardę.

W kołnierzykach uderzyła nas jedna nowość. Stanowi ją koronka, położona płasko na stojącym aksamitnym kołnierzu; mankiety u rękawów, zarówno płaskie, odwinięte w górę, z takiejże koronki, podłożone są aksamitem.

Przytaczamy nakoniec kilka całkowitych ubrań: zaczynamy od najskromniejszych.

Ubranie ranne do wód. Spódniczka z kaszmiru indyjskiego w ciemno szafirowym kolorze, z szerokim plisowanym wolantem, do tego paletocik długi do kolan, naszyty z przodu w drabinkę, koronką białą irlandzką; drabinka ta zwęża się w stanie, rozszerza na piersiach i u dołu. W miejscu gdzie najbardziej zwężona, wpięta kokarda ze wstążki atłasowej, z dosyć długiemi końcami. U szyi kołnierz stojący, pokryty gładko odwiniętą koronką; mankiety nagarnirowane kilkoma rzędami koronki, zarówno jak kieszenie,—tak jedne jak drugie przepięte puklami ze wstążki, w tyle poniżej stanu spada pęk takichże pukli z długiemi końcami. Kapelusik do tego szafirowy kastorowy, przybrany białą koronką i pęczkiem piór strusich w tymże samym kolorze.

Drugi kostium ranny. Spódniczka z lekkiej tkaniny wełnianej w śliwkowym kolorze. U dołu szeroki na łokieć wolant zaprasowany, poniżej woda tejże samej szerokości. Paletocik niezbyt długi, cały przymarszczony w formie bluzki, obciśnięty jedwabnym paskiem, śpiętym na klamerkę z konchy perłowej. Kapelusik słomkowy czarny, przybrany dżetem i wielką kokardą alzacką z atłasu czarnego. Kołnierzyk gipiurowy na czarnym aksamicie wyłożony płasko; takież mankiety.

Kostium spacerowy. Spódniczka czarna z lekkiego atłasu. U dołu plisowany szeroki wolant, z pod niego wybiega wąziuchna falbaneczka. Nad wolantem przeciągnięta draperya z lekkiej tkaniny czarnej *(voile de religieuse)*. Stanik atłasowy, cały przemarszczany raz koło razu, przepasany wązkim paskiem zapiętym na złotą klamerkę. Na to idzie polka otwarta z przodu, naszyta wkoło pasmanteryą z dżetem, udrapowana w tyle. Od szyi spada wielki kołnierz, a raczej mała pelerynka, z takąż pasmanteryą. Rękawy wązkie, przybrane kokardą atłasową, ujęte w złotą klamerkę, z pod spodu wybiega koronka; takaż fryzka u szyi. Kapelusik czarny blądynowy, przybrany bukietem róż w kilku odcieniach, dopełnia pięknego ubrania.

Inny strojniejszy kostium spacerowy. Spódniczka szafirowa atłasowa, przybrana u dołu wolantami i wodą. Na wierzch tunika z jasno błękitnego fularu, w ciemno szafirowy deseń, podpinana w tyle pękami pukli ze wstążki szafirowej. Stanik francuzki z fularu, ogarnirowany koronką, otwarty z przodu, pod spód idzie plastron szafirowy cały przymarszczany; kołnierz do tego koronkowy, stojący, na szafirowym aksamicie, takież mankiety. Kapelusz ryżowy okrągły, przystrojony pękiem piór białych.

Trzeci kostium spacerowy, z kaszmiru i atłasu w kolorze srebrno-popielatym. Cała spódniczka naszyta trzema plisowanemi wolantami z kaszmiru; pomiędzy jednym a drugim przechodzi wązki wolancik atłasowy i takiż zakończa u dołu spódniczkę. Stanik do tego długi francuzki, spięty z przodu na podwójny rząd guzików, boki stanika rozcięte; przez to rozcięcie przechodzi do tyłu szarfa szkocka, w kolorach ciemno zielonym, złotym i *caroubier*, tworząca wielką kokardę z końcami. Od szyi spada mała pelerynka atłasowa przemarszczona w górze do połowy. Dopełnia ubrania kapelusik popielaty, podbity zielonym aksamitem z pękiem piór popielatych.

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Faktem jest tedy nieulegającym już żadnej wątpliwości, że wystawa ogrodnicza przyjdzie do skutku. Odbędzie się ona w ogródku wód mineralnych w Saskim Ogrodzie; rośliny oranżeryjne będą pomieszczone w dwóch krytych galeryach, zaś na warzywa i owoce ma być wybudowaną szopa. Prezesem honorowym jest L. hr. Krasiński, wiceprezesem honorowym dziekan St. Przystański, prezesem rzeczywistym profesor Jerzy Aleksandrowicz, członkami: Czepiński Józef, Hoserowie ojciec i syn, Jankowski Edmund, Kaczyński Władysław i Stiche Józef.

Deklaracye należy składać bądź w kancelaryi muzeum (Krakowskie Przedmieście), bądź też w redakcyi „Ogrodnika Polskiego" (Warecka N. 6). W składanych deklaracyach należy wymienić, czy przedmioty wystawiane są hodowane na własną potrzebę czy na sprzedaż, oznaczyć ilość gruntu zajętą pod hodowlę, ilość posiadanych budynków, okien inspekcyjnych przy hodowli potrzebnych, oraz liczbę pracowników w zakładzie. Wszystkie wystawione przedmioty muszą być przez samego wystawcę lub w jego zakładzie wyhodowane.

Jak widzimy, wystawa ta i jej inicyatorowie mają poważną naukę na celu i starają się dojść do pozytywnych danych, by następnie poznawszy stan ogrodnictwa, przedsięwziąć odpowiednie środki, celem podniesienia hortikultury. Od dobrej woli wystawców zależy, by komitetowi ułatwić zadanie, gdyż mimo najszczerszych chęci jednostek rezultat starań będzie wątpliwy, jeżli nie dozna się poparcia ogółu interesowanych.

W interesie własnym nasi ogrodnicy, tak miejscy jak wiejscy, powinni pośpieszyć z nadsyłaniem deklaracyj; jest to gałęź zbyt długo w zaniedbaniu zostająca i częstokroć płacimy znaczne sumy naszym sąsiadom zachodnim za owoce, kwiaty, nasiona i t d., które bardzo wygodnie u nas hodowane by być mogły.

Jest to gałęź przemysłu krajowego, którą z wielką łatwością i pożytkiem materyalnym mogłyby się zająć kobiety. Walka o byt jak groźne widmo zbliża się do nas w postaci zapotrzebowania „chleba" dla licznych jednostek, których jedynym kapitałem jest praca: należy otwierać wszelkie wrota i drzwiczki, by fala ta nie pochłonęła i nie zmarnowała siły wielu jednostek upadających w walce z życiem jedynie przez brak odpowiedniej zapłaty za włożoną pracę, a jeszcze gorzej, gdy pracy zabraknie; — cóż dziwnego, że silniejsze kobiety zgorzkniałe i zawiedzione, idą przez życie jak rozbitki a los słabszych jest zbyt smutny i znany, byśmy tu o nim wspominali.

Jest to zbyt poważna i paląca kwestya, byśmy ją zbyli kilkoma wyrazami.—W osobnym artykule zastanowimy się nad nią szczegółowo, zwłaszcza, że pisma codzienne kwestyę tę dość po macoszemu traktują, zajmując się wielką i małą polityką, ale czy z pożytkiem dla naszego społeczeństwa — to bardzą wątpliwa kwestya.

Zapewnie sz. czytelniczkom wiadomo, że pojęcie cnoty, występku, ideału i t. d. jest nader względne i zawisłe od stopnia cywilizacyi danego narodu lub społeczeństwa ludzkiego wogóle, a nasz okrzyczany, zmateryalizowany wiek XIX jest idealnie poetycznym i cnotliwym w porównaniu np. z w. XIII w chwili gdy mnóstwo świętych jak: Kunegunda, Salomeja, Bronisława, Jacek i wielu innych na tym padole płaczu przebywało. Pisząc te słowa, mam na myśli przedewszystkiem ideały naszego społeczeństwa z bieżącego wieku. I tak np. przypominam sobie wybornie chwilę, gdy szlachcic z podgoloną czupryną, orator, pełen swady, jedyny do kielicha i szabli — był podniesiony do potęgi dzięki poetom jak Pol, Syrokomla i t. d. Później nastąpił zwrot inny, a ideał szlachcica był to zacny, szczery, miłujący wszystko co swojskie, człowiek, popędliwy ale kochający, pobożny bez fanatyzmu, lecz w odmiennych warunkach ekonomicznych niezaradny i dający się wyzyskiwać żydom i niemcom. Z tych kłopotów ratowała go zwykle Opatrzność a później inżynier, doktor lub podobne cnotliwe indywiduum. To też w literaturze spotykamy zawsze obok szlachcica, typu dodatniego, żyda i niemca jako typy ujemne, i cieszyliśmy się, zakrywając złe, które nas toczyło i niszczyło, kładliśmy czarne farby na indywidua ujemne, blanszując zawzięcie dodatnie.

Obecnie nastała nowa faza: żyda i niemca usunięto zupełnie, a natomiast wglądnięto w psychologiczne czynniki, zrobiono prawdziwą wiwisekcyą na szlachcie, rozłożono ducha i czyny na pierwiastki składowe, a wychodząc z zasady, że sam człowiek jest panem i twórcą swego losu, poszukano w samej szlachcie czynników, które ją często o utratę ojcowizny i stanowiska społecznego przyprawiają.

Taką tendencyą ma naszem zdaniem komedya Bliźińskiego, grana w tym sezonie w „Belle-vue",

przez trupę poznańską, pod dyrekcyą p. Doroszyńskiego—„Rozbitki"; taki tytuł dał swej kreacyi znany i sympatyczny pisarz Bliziński. Komedya ta przedstawia rodzinę szlachecką Czarnoskalskich, którzy nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli — żyją z dnia na dzień, chcąc się ratować wyciągają rękę po najbrudniejsze pieniądze, żaden środek nie jest dla nich dość nizkim, dość podłym— jest to galerya pysznych typów; ów hrabia to żywcem fotografowany typ galicyjski, przeżyty i zużyty moralnie i materyalnie. Nową i nader ciekawą figurą jest wzbogacony młody birbant warszawski Strasz, znakomicie oddany w grze p. Żelazowskiego, artysty teatru krakowskiego; również wysoce komiczną jest postać wzbogaconego kupca, (p. Linkowski), który gwałtem pnie się do arystokracyi i niemiłosiernie kaleczy język francuzki. Obok tych typów dał nam Bliziński szlachetną postać Władysława, młodego, postępowego bohatera-kochanka i nieporadną acz poczciwą figurę syna Czarnoskalskiego. Kobiety w tej komedyi należą przeważnie do ujemnych postaci, z wyjątkiem Poli, córki kupca (p. Cieślińska), która jest pełną uroku młodości i dziewiczych uczuć, a w grze artystki wyszła bardzo dobrze.

Osią główną jest małżeństwo bogatego Strasza z Czarnoskalską, w której się kocha Władysław; upicie się pana młodego przeszkadza haniebnemu związkowi.

Niepodobna nam tu wchodzić w szczegółową ocenę tej komedyi, która na nią w zupełności zasługuje, mamy nadzieję, że teatr warszawski w jesiennym sezonie sztukę tę wystawi — a wówczas specyalny nasz sprawozdawca należycie i wszechstronnie ją oceni; obecnie niech nam będzie wolno podziękować p. Doroszyńskiemu za jego troskliwość w wystawieniu sztuki, dla której nie szczędził ani kosztów ani trudu.

Toż samo towarzystwo dramatyczne wystawiło w ostatnich czasach nowość, która ze względu na swoją wartość zasługuje na dłuższe wspomnienie. Jest to najnowsza komedya Sardou p. t. „Rozwiedźmy się" (Divorçons), która obiegła wszystkie niemal europejskie sceny, wszędzie zyskując głośny poklask. Sardou umie zawsze zręcznie wyzyskać każdą sytuacyą. I tym razem nie pomylił się. Sprawa rozwodowa, będąca na porządku dziennym we Francyi i zajmująca żywo wszystkie umysły, gorąco broniona przez Dumasa w broszurach, nie mogła nie zwrócić uwagi i pana Sardou, który podjął ją i w właściwy sobie sposób stworzył z niej znakomitą, pełną humoru i gryzącej satyry komedyą. „Rozwiedźmy się", jest ostrym pociskiem przeciwko wszystkim tendencyom i paradoksom zawartym w broszurach Dumasa, i gdyby nie akt trzeci, który autor zniżył do farsy, byłby to utwór godny stanąć w rzędzie najznakomitszych komedyj ostatnich lat. Pierwszy i drugi akt, pominąwszy świetny dyalog błyszczący i ruchliwy jak żywe srebro, ma w sobie wiele werwy: satyrycznie i nader dowcipnie a śmiało uderza na zwolenników kwestyi rozwodowej; wyborny w charakterystyce trzech osób: męża, żony i kochanka, subtelnie stawia te trzy osoby w kolizyi ze sobą, która kończy się moralnem zwycięztwem porządku dotychczasowego. W miarę sił, komedya Sardou odegraną była stosownie przez artystów p. Doroszyńskiego, a w tym względzie najwięcej zasługuje na pochwałę pan Żelazowski, który prawdziwie artystycznie pojął i wykonał rolę męża.

W „Alhambrze" towarzystwo p. Puchniewskiego wystawiło „Złotego cielca", komedyę niedawno zmarłego dyrektora teatru lwowskiego, Stanis. Dobrzańskiego. Jest ona wyborną farsą napisaną z humorem i dowcipem, za treść której posłużyło autorowi życie wiedeńskich gründerów. Jest to także satyra, bez głębszej może myśli, ale zakończona obficie zręcznemi sytuacyami i serdecznie bawiąca. Artyści wszyscy grali bardzo dobrze. Wspominając o „Alhambrze" nie można przemilczéć o nader zajmujących występach panny Maryi Kwiatkowskiej, artystki teatru krakowskiego, która odegraniem kilku ról dowiodła niemałych zdolności charakterystycznych. W „Emigracyi chłopskiej", „Czartowskiej ławie" i „Nocy Świętojańskiej" młoda artystka była wyborną, — znać w niej obycie z większą sceną, znać w niej rutynę, posiada przytem nieodzowny w podobnych rolach humor i werwę. Publiczność bardzo życzliwie przyjmuje występy panny Kwiatkowskiej, darząc ją hucznemi oklaskami i często wywoływaniem. Wogóle towarzystwo p. Puchniewskiegie wystawieniem kilku dobrych utworów dramatycznych jak: „Wychowanka" Fredry, „Rozwiedźmy się" i „Złoty cielec" etc., oraz zaproszeniem na występy tak zdolnej artystki jak panna Kwiatkowska, dobrze w tym roku zasługuje się publiczności warszawskiej.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Wykończone już są plany nowego kościoła na Koszykach, mającego być kościołem parafialnym dla tej części miasta, a zarazem jednym z największych w Warszawie. Kościół ten ma być zbudowany w kształcie krzyża, na przecięciu ramion którego wzniesie się kopuła. Wnętrze zostanie rozdzielone na pięć naw czterema rzędami kolumn, wspierającemi okrągłe łukowate sklepienia. W ramionach krzyża mieścić się mają: kaplice, zakrystya, skarbiec etc.; w głębi po za kopułą, prezbiteryum i wielki ołtarz. Ogólny styl kościoła ma być romański, nie tak jednak czysty, piękny i bogaty w ozdoby architektoniczne jak wiele pomników Włoch i Francyi, ale raczej jak romantyk przeniesiony na grunt niemiecki i odpowiednio do ducha tego narodu zmieniony. Tak przynajmniej wnosić trzeba z frontonu niezdobnego w bogatą ornamentykę i mającego zachować naturalną barwę cegieł. Kopuła jednak mająca stanąć na przecięciu ramion krzyża, nada kościołowi charakter romantyku wiązanego, odznaczającego się zarówno odcieniem niemieckim jak i czysto łacińskim. Kopuła to bardzo piękna i śmiało narysowana, i jeźli tak zostanie zbudowaną, będzie stanowić istotną ozdobę kościoła mającego stanąć na Koszykach.

+ W jednym z numerów „Kuryera Codziennego" pani Eliza Orzeszkowa wystąpiła z listem otwartym do pana W. Przyborowskiego ze skargą na redakcyą „Kuryera Warszawskiego". Rzecz szła o jakąś nowelkę utalentowanej tej autorki, którą chciała wycofać, jako obrażona spadła na nią w tem piśmie krytyką. „Kuryer Warzawski" odmówił zwrotu, ztąd gniew i nieporozumienie.

Okoliczność to niezmiernie drobna, zakrawająca na dąsy... wielkości niemogącej przebaczyć że ktoś ośmiela się minąć ją bez pokornego ukłonu.

Co bowiem może obchodzić ogół czytającej publiczności nieporozumienie najzupełniej prywatne p. Orzeszkowej, żeby aż w czterech długich szpaltach głosiła *urbi et orbi*, że jej „Kuryer Warszawski" sprawił krytyczną przykrość, nie chciał zwrócić nowelki danej mu do druku i że honoraryum za nią przeznacza na korzyść osady rolnej w Studzieńcu.

Jakim także sposobem w te dąsy wplątany został p. W. Przyborowski, trudno pojąć.

Panią E. Orzeszkową bardzo cenimy za jej niepospolity talent, za chęci dla kraju jak najlepsze a bezinteresowne, chociaż nie podzielamy głównej zasady którą się rządzi. Pan W. Przyborowski tak jak i pani Orzeszkowa, należy do nowego pokolenia pracowników pióra, i pracuje poczciwie, z zacną myślą i z talentem coraz się pomyślniej rozwijającym. Mimo to, list otwarty do niego w kwestyi tak błahej i maluczkiej, i drukiem ogłoszony, wygląda jak herold średniowieczny, trąbiący całemu światu o znaczeniu jego twórcy, którego nawet zmarszczenie brwi i przymknięcie oka, ma wielkie znaczenie społeczno-polityczne.

W końcu swej odezwy, pani Orzeszkowa prosi o astrologa, któryby jej wróżył o wartości rękopismów przyjmowanych do jej wydawnictwa. Znaleźć go może łatwo w samej sobie, w tak zwanym zdrowym rozsądku, którego posiadania wieloliczne dała dowody, a ten otrząśnięty tylko z przekonania nieomylności nowego pokolenia, z pewnością powiedziałby, że tak Katalog dziecinnej literatury, jak i książka p. Chmielowskiego oraz i inne podobne wypracowania, nie powinny były być wyciągnięte na widok publiczny z tek niefortunnych ich autorów. Nie jesteśmy tygodnikiem noszącym nazwę "Prawdy," ale gdy on jej nie wypowiedział, uczuliśmy się niejako zobowiązani do wyręczenia go. Niechże tej usługi nie weźmie za złe a postara się, aby wierny swemu programowi, do jej ponawiania dawał jak najmniej powodów.

+ Niewiele pozostało pomników z cywilizacyi chaldejskiej, która znacznie poprzedziła assyryjską i babilońską, i niewielu też uczonych wzięło się do badań w tym kierunku. Chcąc zapełnić tę próżnię w historyi cywilizacyi świata, pan Sarsec, wicekonsul francuzki w Egipcie, oddał się z wielką energią i zapałem zbieraniu starożytności chaldejskich. W tym celu odbył trzy podróże w głąb' Niższej Chaldei i odnalazł wielką liczbę pomników odnoszących się do XVI wieku przed erą chrześciańską. Przywiózł do Francyi kolekcyą z rozmaitych przedmiotów, w liczbie których znajduje się między innemi ośm posągów zwracających uwagę nader oryginalnem wykonaniem. Wszystkie te, jedyne w swoim rodzaju okazy, pokryte są napisami według starego systematu pisma babilońskiego. Pan de Sarsec postanowił oddać je do muzeum Luwru, żąda tylko aby mu zwrócone sumę 130,000 fr. jako pewnej części ogromnych kosztów poniesionych na podróże, poszukiwania i zebrania tak rzadkiej kolekcyi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 17 Августа 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 36 r. 1881.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Firanki łóżka do połowy były odsunięte, story do połowy podniesione. Łóżko stoi w alkowie w głębi pokoju, tak więc Ida nie może widzieć leżącego na nim, dopokąd nie przysunie się zupełnie. Ponieważ ojciec nie przemówił do niej ani nie podał ręki na powitanie, uważała sobie za obowiązek pochylić się i pocałować go nieśmiało i cała drżąca. Poznała jednak że niestosownie postąpiła, gdyż chory zawołał:

— Idźże z Bogiem, dziecko, rzekł oburkliwie, ocierając twarz cienką batystową chustką. Jakie masz zimne policzki! pozwól sobie powiedzieć że podobno najlepiej będzie, jeźli nie będziemy powtarzać tej ceremonii.

Na te słowa ojca rumieniec wystąpił na policzki Idy; nigdy jeszcze w podobny sposób nie przyjmowano jej pieszczot. Zanadto dotknięta w swej dumie i uczuciach, nie mogła odpowiedzieć słowami, skinęła tylko głową. Ręce jej opadły, spuściła oczy i stała tak przy łóżku nie śmiejąc, po pierwszem niepowodzeniu postąpić kroku na tej nieznanej drodze, najmocniej przekonana że stary chory odbywa krytyczny przegląd jej osoby.

— Powinienem przeprosić że nie mogłem przyjąć cię dziś w nocy, rzekł zimno ceremonialnie, poczem dodał z odcieniem szyderstwa: Spodziewam się że odbyłaś przyjemną podróż?

— Przyjemną! zawołała z tragicznem uniesieniem, a jej szeroko otwarte oczy ciskały płomienie. Przyjemną!...

Poczem dodała spokojniej, choć zawsze z oburzeniem:

— Byłabym przyjechała dobrowolnie, niepotrzebnie więc przywieziono mnie tu gwałtem.

— Aha! byłabyś przyjechała! odpowiedział obojętnie z miną zawiedzioną; no, zawsze lepiej było upewnić się... tak przynajmniej utrzymuje Burnet, bo to jego pomysł.

— Jego pomysł! Czy raczy ojciec powiedzieć mi co mu do tego?

— Zapytaj się jego, odrzekł kwaśno, posuwając głowę na poduszkę. Jeźli masz ochotę wyprawić jakąś scenę z tego powodu, to proszę zwróć się z tem do niego a nie do mnie.

A po chwili, widząc że ponure zachowała milczenie, dodał tonem przestarzałej galanteryi:

— Co do mnie, zawsze z przyjemnością przyjmuję młode damy. Ale mówiąc między nami, wnosząc z uprzednich wizyt jakie raczyłaś mi oddać, obawiałem się że niewielką nawzajem znajdziemy przyjemność w swojem towarzystwie, i powiedziałem to Burnet'owi.

Milczała połykając swoje upokorzenie; wtedy napowrót ku niej odwrócił głowę i wpatrując się w nią, rzekł jakby uradowany przykrością jaką jej sprawił.

— Czy sądzisz że zabawić mnie jest rzeczą możebną?

— Nie zdaje mi się to prawdopodobnem, odpowiedziała cicho.

Lecz przytłumiwszy swą niechęć chwalebnem usiłowaniem, rzekła najsłodszym głosem na jaki zdobyć się mogła, i z przymuszonym uśmiechem:

— Bez zaprzeczenia, nie potrafię ojca zabawić, ale może mogłabym być mu użyteczną. Czy nie zechcesz spróbować?

— Niechże Bóg broni! odrzekł prawie z gniewem; chciej zrobić mi przyjemność i nie probuj tego nawet. Nic nie mogłoby większej zrobić mi przykrości; na cóż mi jeszcze więcej ludzi *użytecznych*. Mam przecie juz Burnet'a i panią Smith, a mógłbym ich mieć ilebym tylko chciał płacić. Czyż sądzisz, dodał z szyderskim uśmiechem, że sprowadziłem cię abyś mi słała łóżko i gotowała ziółka, jeźli tak, to grubo się mylisz.

Cóż mogła odpowiedzieć na taką mowę? stała też nieruchoma, blednąc i rumieniąc się naprzemian.

— Gdybyś tak mogła mnie rozśmieszyć! rzekł wpatrując się w biedną upokorzoną córkę... Zdaje mi się, moja piękna, że nie ma na świecie nic mniej prawdopodobnego... ale gdybyś mogła tego dokazać, opowiadając mi naprzykład jakiś niezgorszy skandalik, jakąś *dobrą historyjkę*... Bah! rzekł znów odwracając głowę, najgorzej, gdy się tak długo żyje, że już nic nowego dowiedzieć się nie można.

Gdy to mówił, blady promień słońca przedarł się przez na wpół tylko zasunięte firanki, oświecając skwaszoną twarz chorego i młodą twarzyczkę Idy, na której najpierw malowało się oburzenie że zapoznawano jej talent zabawiania ludzi, który dotąd tak podziwiano w jej otoczeniu, a następnie uczucie prawdziwej litości.

— Przykro mi, rzekła łagodnie, że nie znam historyjek mogących ojca zabawić, ale, jeźli pozwolisz, mogłabym ci co czytać. Czy pozwoli ojciec... czy chce... ażebym mu czytała... coś... poważniejszego?

Nigdy jeszcze nie powiedziała nic coby ją tak wiele kosztowało, ale czuła że jest to jej obowiązkiem, a nadto pokładała pewną ufność we wpływie jaki zwykle wywierała. Nie śmiała jednak patrzeć na chorego, przeszywającego ją swym szyderskim wzrokiem.

Gdy nic nie odpowiadał, odważyła się nareszcie spojrzeć na niego; siedział na łóżku z twarzą wspartą na wychudłej ręce.

— Tysiączne dzięki, rzekł z szyderskim ukłonem; jesteś nader łaskawa i dumny jestem z posiadania córki, będącej tak nieocenionym skarbem, ale pozwolisz sobie powiedzieć że wcale nie jestem wielbicielem kaznodziei w spódnicach! Zdaje się, i nie mam powodu wątpić, że blizko ztąd, przy kościele parafialnym, mieszkają liczni i gorliwi duchowni; gdybym potrzebował ich pomocy, możesz być pewna iż rozkazałbym zawezwać którego... Czy czytasz po francuzku?

— Trochę, odpowiedziała urażona.

— Kiedy tak, możesz spróbować... Ponieważ ofiarujesz mi swe usługi, więc je przyjmuję... choć może niekoniecznie w tem znaczeniu jak ty myślisz...

To mówiąc, wskazał na stojący w pobliżu stolik, założony przeglądami, dziennikami, romansami i sztukami teatralnemi—wzięła z niego dziennik jaki wymienił, poczem, zgodnie z jego poleceniem usiadła naprzeciwko niego,—chciał bowiem czytać z jej twarzy każdy odbijający się w niej odcień przykrości lub niezadowolnienia.

Ida tak zupełnie znała język francuzki jak i wszystkie młode dziewczęta angielskie które nigdy nie będąc we Francyi, nie mają wielkiej wprawy ani dobrej wymowy. Starała się o nią wprawdzie, ale skutek niekoniecznie odpowiadał usiłowaniom.

Miała przeczytać odcinek dziennika pełen wyrażeń artystycznych, szwargotu uczni w pracowniach malarskich, alluzyj do życia teatralnego i klubowego oraz światowego paryzkiego, a zatem całkiem niezrozumiałego dla niewtajemniczonych; czytała więc dokładnie ale z trudnością, głosem monotonnym, jak się zazwyczaj czyta coś czego nie rozumiemy. Przeczytała tak półtory kolumny. Słuchacz nie zdradzał żadnego wrażenia, tylko jakby drgnął od czasu do czasu; zatrzymała się i spojrzawszy na niego zapytała nieśmiało czy mu to sprawia przyjemność?

— Bezmierną! bezgraniczną! odrzekł z sarkastycznym uśmiechem. Prononsyacya twoja jest jedyna w swoim rodzaju, a nadto widzę że nie rozumiesz ani słowa; ale z wyjątkiem tych dwóch małych niedoskonałości — reszta wybornie!

Liczyła trochę na jakieś pochwały, jakie dotąd nie omijały ją nigdy cobądź czyniła; to też usłyszawszy szyderską odpowiedź ojca, uniosła się gniewem i rzuciwszy dziennik zawołała z oburzeniem:

— Przyznawano mi zawsze że mam bardzo dobrą wymowę!

— Czy być może!... rzekł zawsze z szyderstwem.

— Panna Schwartz, Niemka, nauczycielka mojej kuzynki, mówiła mi że możnaby wziąść mnie za rodowitą Francuzkę.

— Tak ci mówiła?... a! biedna panna Schwartz!..

Upłynęło chwil kilka zanim Ida o tyle odzyskała zimną krew, iż mogła zapytać spokojnym głosem czy ma czytać dalej.

— Na dziś dość tego, odpowiedział uśmiechając się złośliwie; tak wielkich przyjemności w małych dawkach używać trzeba... zostawmy resztę na jutro.

Tylko wysiłkiem woli wzięła napowrot dziennik, to też odrzuciła go z westchnieniem zadowolnienia.

— Przykro mi bardzo że muszę damie dać do zrozumienia żeby sobie poszła, rzekł tonem urągającej grzeczności, z wyrazem szatańskiej złośliwości w oczach; ale jeźli raczysz wybaczyć szczerość chorego, to prosiłbym cię, moje dziecko, zostaw mnie teraz samego.

I skinieniem pokazał jej drzwi. Wyszła ze spuszczoną głową, z oczami pełnemi łez; czuła się zarazem rozdrażnioną, upokorzoną, jakby zmniejszoną. W cóż się obrócił ów wpływ który wywierała według niej na każdego kto tylko zbliżał się do niej, ta wielka władza i przewaga jakie sobie przypisywała.

VII.

Dwa dni minęło; nie ma przymrozków, śnieg topnieje, Londyn staje się wilgotnym i błotnistym. Panna służąca i pakunki Idy przybyły nareszcie. Zbłądzili w drodze do kolei; pakunki w dobrym

stanie, panna służąca w bardzo złym humorze. Nie czując się stworzoną na męczenniczkę, gdy tylko zobaczyła dom opustoszały, jedną tylko najemnicę, meble zapakowane, zaczęła utyskiwać i zażądała uwolnienia zarzekając się że wolałaby stracić miesięczne zasługi, niż choćby jedną noc spędzić w podobnem pustkowiu. Ida odpowiedziała jej na to z pogardą że może sobie odejść natychmiast, a tak znowu została sama, tak zupełnie sama, jak gdyby była jedyną żyjącą istotą w całym tym ponurym domu.

Tak tedy dwa dni minęło, a ojciec nie przyzwał jej powtórnie do swego łoża. Jeszcze kilka dni przedtem byłaby przysięgła że żaden chory tak blizkiemi węzłami z nią połączeny, nie mógłby obejść się bez jej starań i opieki; wszak nikt inny tylko ona tak umiejętnie i troskliwie doglądała wuja i dzieci ilekroć które zachorowało.

Już przy pierwszem jedynem dotąd widzeniu, jej miłość własna ciężkie poniosła rany, mimo to obawiała się wyjść z domu, obawiając się być nieobecną w razie gdyby chory ją przyzywał; całe więc długie godziny spędzała w ponurej bibliotece, wsuwając się za wielkie firanki osłaniające półki, a wyszedłszy z po za nich, czytała przy niepewnem świetle ciemnych zimowych dni londyńskich.

Trzeciego dnia po południu, gdy stojąc na drabince, jedną ręką trzymała się najwyższej półki, drugą otwartą książkę, która mocno ją zaciekawiła, dozorczyni chorego weszła cichutko i stanęła w otwartych drzwiach.

— Czy ojciec mnie woła? czy mnie potrzebuje? zawołała żywo.

Dozorczyni zawahała się z odpowiedzią.

— Tak sądzę, rzekła nareszcie; kazali mi prosić pani.

— *Kazali?* co to ma znaczyć *kazali?* zapytała Ida spoglądając na nią surowo.

— Doktor Burnet przybył i on to kazał mi prosić pani.

Ida, która zeszła już z drabinki, chciała napowrót wejść na nią.

— Proszę powiedzieć temu kto panią przysela że nie przyjdę.

Mistress Smith spojrzała na nią z pewnem zadziwieniem; zawahała się, przywykła do podrzędnej roli, w końcu jednak rzekła:

— Jeżli miss pozwoli objawić moje zdanie, radzę żebyś poszła. Doktór jest jedyną osobą mającą jakiś wpływ na pana Latimer, bez niego nie dałabym sobie rady.

Ida stała, nie wiedząc co zrobić; ale nareszcie zdrowy rozsądek przeważył szalę, jak zwykle gdy ktoś chce zastanowić się i słuchać jego głosu.

— Dobrze, pójdę, rzekła powoli.

Obie tak cicho weszły do pokoju, że ani chory ani doktor nie usłyszeli tego. Pan Latimer mówił żałośnym głosem:

— Nie jest że to nad wszelki wyraz przykrem i nieznośnem, żebym ja, lubiący tylko kobiety żywe, energiczne i pełne życia, męczony był przez całe życie przez mdłe i ograniczone.

— Zdaje mi się że największy nieprzyjaciel miss Latimer nie mógł zarzucić jej że jest, jak pan mówisz *mdła*, odrzekł doktor Burnet z nieco gorzkim uśmiechem.

Zaledwie wymówił te słowa, ujrzał przed sobą tę o której mówił, a pogardliwie gniewny wyraz jej twarzy dowodzi mu że słyszała.

— Kto podsłuchuje, zazwyczaj nic dobrego nie usłyszy o sobie, rzekł chory złośliwym uśmiechem wykrzywiając usta; powinnaś sobie powinszować że nie dowiedziałaś się czegoś gorszego. Na twojem miejscu uważałbym to za komplement.

— Uważam to za to co warte, odrzekła z zamiarem dotknięcia Burnet'a.

Poczem, nie spojrzawszy nawet na niego, odwróciła się i przysunęła do łóżka.

— Czy chcesz udzielić mi lekcyą języka francuzkiego? rzekł starzec, a odblysk złośliwości ożywił na chwilę przygasłe jego spojrzenie. Wielka szkoda, doktorze, iż tak masz czas zajęty, bo podobna sposobność niełatwo się zdarzy. Córka moja prześlicznie mówi po francuzku — tak przynajmniej utrzymuje panna Schwartz... Wszak prawda, Ido?

Zaczerwieniła się bardzo i przez chwilę nie miała siły odpowiedzieć; jednakże zapanowawszy nad sobą z prawdziwie bohaterską odwagą jak na osobę tak niecierpliwą i pyszną, odrzekła spokojnie, probując się uśmiechać.

— I ja i panna Schwartz możemy się mylić; ale nie jesteśmy tak ograniczone aby nie pragnąć się poprawić, jeźli ojciec raczy wskazać nam sposób.

Zawiedziony w oczekiwaniu, odwrócił głowę.

— Bah! odrzekł, nie jestem tak próżny abym sądził że kobietę mogę czegoś nauczyć, one przeciwnie całe życie moje dawały mi nauczki i przewodziły nade mną.

Widząc że chory przestał zwracać na nią uwagę, odwróciła się z westchnieniem, i oczy jej spotkały się z utkwionym w nią wzrokiem Burnet'a; gdyby ktoś inny patrzył tak na nią, w spojrzeniu tem wyczytałaby żywe współczucie za które byłaby wdzięczną, ale jemu, swemu nieprzyjacielowi, odpowiedziała tylko zimnem i wyniosłem spojrzeniem. Nie ulękł się go jednak, wstał i stanął obok niej przy łóżku chorego.

— Nie wychodziłaś pani dziś? zapytał, patrząc dobrotliwie na twarz jej pobladłą od doznawanych przykrości i braku powietrza.

— Nie.

— Ani wczoraj?

— Nie.

— Przecież przyzwyczajona pani jesteś na wsi do używania świeżego powietrza?

— Tak.

— Tyle zaledwie raczyła mu odpowiedzieć. Jakiem prawem śmie pytać ją o życie przeszłe, tak jej miłe i drogie, którego ją pozbawił?...

— Czas dziś dość ładny, rzekł wyglądając oknem; nie czuć już zimy, powietrze prawie wiosenne.

Nic nie odpowiedziała.

— Jeźli wolno, radziłbym abyś pani wyszła się przejść.

— Dziękuję, nie lubię wychodzić.

— Ale pani nie przywykłas żyć w takiem zamknięciu; to źle oddziała na jej zdrowie.

— Tego się nie obawiam.

— Przecież obejdzie się tu bez pani z jakie pół godziny.

Wzięła za wyrafinowane szyderstwo, co on powiedział w najniewinniejszej myśli; wszakże przez dwa dni nie przyzwano jej ani na chwilę!

— O tem nie wątpię, i to nie pół godziny ale i pół roku, odrzekła cierpko.

— Co wy tam tak szepczecie z sobą? zawołał niecierpliwie chory; czyż nie wiecie że wszelkie szepty drażnią i niepokoją chorego. Możecie sobie rozprawiać za drzwiami.

— Nie rozprawiamy, odrzekł Burnet spokojnie, ale stanowczo i prawie surowo; mówiłem tylko miss Latimer że powinnaby wyjść przejść się trochę.

— Zrób, moje dziecko, co on mówi, odrzekł szorstko starzec, a gdy nie ruszyła się i nie odpowiedziała, odwrócił głowę aby zobaczyć co może ją skłaniać do nieposłuszeństwa.

— Doktor ma słuszność, rzekł wpatrując się w nią zimnym wzrokiem krytyka; jeźliś żółta jak cytryna... Nie igraj ze zdrowiem; kobieta powinna być czerstwa i zdrowa.

Widząc że nie rusza się z miejsca, uniósł się nieco i zawołał z gniewem:

— Czy nie słyszysz co mówię! na miłość Boską nie zniewalaj mnie nigdy abym powtarzał rozkazy!... Zrób natychmiast co Burnet rozkazuje... No, wychodź!

Nie śmiejąc opierać się dłużej, wyszła, ale tak wolno iż to samo już było pewną protestacyą; przechodząc przez próg, gdzie ojciec już widzieć jej nie mógł, rzuciła doktorowi wyzywające spojrzenie, jakby grożące zemstą. Wyszedłszy na korytarz, zatrzymała się chwilę, poczem śmiało wróciła do biblioteki, włożyła szubkę i wszedłszy na drabinkę wzięła pozostawioną książkę. Ale czytanie nie zdołało zatrzeć w jej pamięci doznanej nieprzyjemności ani ułagodzić złego humoru. Z jaki kwandrans próbowała czytać uważnie, a nie mogąc tego dokazać, zeszła z drabiny i zbliżyła się do okna. Wychodziło ono na wewnętrzny dziedziniec i stajnie. Stangret obmywał karetę; inny powóz właśnie wyjeżdżał; w oddali widać było same tylko kominy. Ida wzdycha wsparta o ramę okna; widząc że oddech jej osiadł na szybie, zaczęła wycierać ją chustką od nosa. Wtem drzwi się otworzyły; ktoś wchodzi, — to Burnet!

— Jakto! nie ma ognia na kominku! zawołał.

— Wcale mi nie zimno, odpowiedziała oschle, lecz posiniałe policzki zaprzeczają jej słowom.

— Więc nie wychodziłaś pani?

— Nie, gdyż bynajmniej nie miałam tego zamiaru, odpowiedziała spokojnie.

— Szkoda, toby pani dobrze zrobiło.

— Nie miałam ochoty, a nie uznaję władzy od której wyszedł ten rozkaz.

— Władzy! odrzekł żywo. Cóż za dziwne widzimisię, aby sobie wszystko tłomaczyć na przewrót!

Zachowała pogardliwe milczenie.

— A cożby mi mogło na tem zależyć czy pani wychodzisz albo nie, gdyby nie wzgląd na jej zdrowie. Czyż to mnie będzie boleć jeźli pani zachoruje z braku ruchu!

Nie odpowiedziała, ale głos wewnętrzny którego słuchać nie chce, mówi jej że doktor ma słuszność.

— Cóż za szczególniejszy charakter! ależ to osoba z którą niepodobnaby wyżyć! rzekł mówiąc raczej sam do siebie niż do niej, ale wpatrując się w nią ze współczuciem.

— Nikt jeszcze tego mi nie powiedział! krzyknęła oburzona. Jakiem prawem, pan obcy mi zupełnie, śmiesz czynić mi podobne zarzuty!

— Mówię o pani takiej jaką mi się przedstawiasz, to jest jak najniegrzeczniejszej i najnierozsądniejszej.

Zmieszała się nieco, ale po chwili wybuchnęła gniewnie.

— Pocoś mnie pan tu sprowadził? jaki mogłeś mieć w tem interes? Na co się to zdało?... co za powód?... Odpowiadaj pan!

Wszystkie te pytania wypowiedziała z wyraźną chęcią dokuczenia mu, z nienawistnem spojrzeniem. Popatrzył na nią, zdając się namyślać co odpowiedzieć.

— Tak, odrzekł nareszcie, miałem powód, ale ponieważ z przyczyn pani jedynie znanych, jesteś tak silnie przeciw mnie uprzedzona - nie uwierzyłabyś choćbym powiedział.

— Mogę przynajmniej poznać go, odparła popędliwie.

— Nie... odpowiedział... nie!... nie ma potrzeby; dowiesz się pani kiedyś.

— Czyż obecność moja sprawia ojcu jakąś przyjemność? czy jestem mu potrzebną? Nie doglądam go i nie pielęgnuję... nic i w niczem nie dopomagam mistress Smith.

— I utkwiła w niego badawcze spojrzenie.

— Wiem o tem, odpowiedział.

— Czyż ktoś inny nie mógłby stać się celem dogryzań i przytyków, bo dotąd ten jedynie spełniałam obowiązek, mówiła z coraz żywszem uniesieniem.

— Rzeczywiście.

— Więc czemuż nie dacie mi wracać do domu! zawołała ze łzami w głosie; czemu nie mam powrócić do osób które nietylko nie uznają *że ze mną wyżyć nie można* ale nawet obejść się beze mnie nie mogą?

Spojrzał na nią z pewnem zadziwieniem.

— Czy rzeczywiście tam pani jest tak niezbędnie potrzebną? zapytał; bardzo, bardzo mało kto może tak o sobie powiedzieć.

— Tak jest, odrzekła gorąco; jestem osią około której wszystko w domu się obraca. Serce mi się ściska na samą myśl jak tam na każdym kroku nieobecnośc moja uczuwać im się daje! dodała złamanym głosem.

— Pociesz się pani, odrzekł ironicznie, zapewnie nie tak znów bardzo jak pani sądzi ubolewają tam nad jej nieobecnością.

A widząc że oburzona chce mu zaprzeczyć, dodał:

— Nie mam zamiaru obrażać pani, ale wierzaj mi, na każde opróżnione miejsce, pojawia się dziesięć osób pragnących je zająć.

— Bardzo to nędzna pociecha, odparła opryskliwie.

— Tak, nie przeczę, że to boleśnie dotyka miłość własną, ale tak jest na świecie.

Zwracając się ku drzwiom, odwrócił się dodając:

— Zresztą, zrób pani jak chcesz, wracaj albo zostań. Wiesz jaka moja rada, ale ja wiem znowu że nie chcesz słuchać rad moich. Dobranoc.

VIII.

Ida pozostała. Upłynęło dwa tygodnie, a że do wszystkiego można nawyknąć zdaje jej się iż nigdy prawie nie znała innej usługi nad ową najemnicę, i nie jadała innych obiadów jak przynoszone z sąsiedniej traktyerni, gdyż chory uparł się i nie chciał przyjąć służby.

— Tak, byliście wszyscy pewni że umrę lada chwila, mówił z sarkastycznym uśmiechem, iż chciałem oszczędzić najmniejszych kłopotów memu spadkobiercy. Urządziłem wszystko dobrze, nie mogę zezwolić na nieład i chaos.

Wszystko więc pozostało w pakach i nieuporządkowane, a Ida samotna błąkała się po pustym domu. Jednakże ktoś, nie wiedziała kto dał rozkaz aby urządzono dla niej mały salonik. Zapalają w nim ogień na kominku, przynoszą kwiaty, a Ida spędziła w nim prawie cały styczeń, oczekując co dzień czy chory jej nie przywoła.

Często parę dni nic o nim nie wie; to znów długie godziny przesiaduje przy jego łożu, słuchając bardzo drażliwych historyek, które ją rażą a nie bawią bynajmniej; czyta głośno niezrozumiałe dla niej książki, pisane w niedość dokładnie znanym jej języku, a to aż do zmęczenia i znużenia oczu; czasami próbowała zrobić jakąś trafną i dobrze pomyślaną uwagę, ale chory przerywał jej nie dozwalając dokończyć, a nareszcie odprawiał ją szyderskiem podziękowaniem i jakimś sarkastycznym komplementem. Wtedy wracała do swej samotni z tem smutnem przekonaniem, że wszystkie jej trudy i przykrości żadnej nie przynoszą korzyści. Jednakże w tej ciemnej nocy życia zajaśniał jej promyk radości, przyniosły go listy nadeszłe z domu.

Jeźli coś mogło wrócić jej dobrą opinią o wysokiej wartości jaką miała o samej sobie, to właśnie wiadomość o małych biedach jakie miały miejsce w domu wuja od czasu jej odjazdu, naturalnie z powodu jej nieobecności.

Emilia przesyłała jej swe gorące pensyonarskie serdeczności, a mały Ryszardek próbkę swego starannie opracowanego po ołówku pisma. Pierwszą jej myślą po odebraniu tych wiadomości była chęć oznajmienia ich Burnet'owi który wyraźnie zdawał się powątpiewać aby obecność jej w domu wuja tak niezbędnie była potrzebna, ale zastanowiwszy się uznała że uwłaczałoby to jej godności; jednakże sama myśl że może nadarzy się sposobność okazania mu dowodu gdyby jeszcze okazał swoje pod tym względem powątpiewanie, stała się powodem iż przez kilka dni nie tak niegrzeczną była dla niego.

Pewnego dnia po południu siedziała przy łóżku ojca, który przeszło od kwandransa nie wyrzekł ani słowa, i leżąc z zamkniętemi oczami popadł w ten półsen skracający chorym długie dni cierpień. Siedząc bezczynnie, z zadziwieniem i litością wpatrywała się w wychudłą i zmienioną twarz ojca; wtem nagle zadrżała usłyszawszy cierpki głos jego:

— Czy wolno mi zapytać, co jest powodem tego drobiazgowego rozpatrywania jakiem raczysz zaszczycać moją osobę?

— Ja... ja... chciałabym tylko wytłomaczyć sobie... coś... co się tycze ojca... wybąkała.

— Bardzo to uprzejmie z twej strony że raczysz się tem trudzić, odpowiedział cierpko, ale wierzaj mi, lepiej daj temu pokój.

— Nie myślałam nic złego, odrzekła pewniejszym już głosem ale z uszanowaniem. Mogę powiedzieć nad czem rozmyślałam: oto zadawałam sobie pytanie jak to być może ażeby ojciec, tak niedostępny dla wszelkiego obcego wpływu, tak się poddawał przewadze tego.... tego... doktora Burnet'a?

Nazwisko to wypowiedziała z widocznym wstrętem.

— Hm! więc to jedynie cię zajmowało?

— Jaki może być powód tak wielkiego wpływu? mówiła znów ośmielona ciekawością, tem więcej że z natury bynajmniej nie była nieśmiałą.

— Skoro tak koniecznie pragniesz się tego dowiedzieć, rzekł cierpko, więc choć nie pojmuję co cię to może obchodzić, powiem ci że jest to najuczciwszy człowiek jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu.

— A więc, mój ojcze, bardzo jesteś nieszczęśliwym, rzekła zwracając na niego szczere i pogodne spojrzenie, skoro w swojem tak długiem życiu natrafiłaś na jednego tylko uczciwego człowieka.

— W mojem tak długiem życiu! powtórzył rozgniewany; bardzo ci dziękuję za to, ależ nie żyłem znów przecie tak bardzo długo, i nie potrzebujesz uważać mnie za drugiego Matuzala.

Chwilę zamilkła zmieszana, niezadługo jednak rzekła znowu:

— I jakimże sposobem mógł tak bardzo dowieść swej uczciwości?

— Do kroćset! krzyknął z gniewem, co u dyabła skłania cię do wyprowadzania tego nieznośnego śledztwa? Dość tego!

Trudno było nalegać dłużej; zamilkła choć niechętnie. W pokoju słychać już tylko było bieg zegara i odgłos dzwonu z poblizkiego kościoła, zwołujący wiernych na wieczorną modlitwę. Po jakimś czasie chory pierwszy przerwał milczenie:

— Może i ty sama, Ido, poczuwałabyś się do pewnych obowiązków dla człowieka któryby ci dodał dziesięć lat życia, rzekł głosem zwiastującym że nie ochłonął jeszcze z rozdrażnienia wywołanego niewczesnemi zapytaniami.

— Oczy Idy dotąd z roztargnieniem biegające z przedmiotu na przedmiot, zwróciły się na chorego z niemem pytaniem, bo słowami już go zadać nie śmiała.

— Musisz o tem wiedzieć, rzekł szorstko, że dziesięć lat temu najsławniejsi doktorzy wydali na mnie wyrok śmierci. „Nie ma ratunku!” mówili, ja odpowiadałem „Nieprawda!” Chodziło o zrobienie nader ważnej i trudnej operacyi, której dokonać żaden się nie odważał.

Zamilkł na chwilę, Ida rzekła słodkim głosem:

— Nie kończ, mój ojcze, jeźli cię to męczy.

Lecz on jakby nie słyszał, mówił dalej tymże samym głosem:

— Wtedy właśnie poznałem Burnet'a; powiedziałem mu o co chodzi, i on... Ale może masz ochotę poznać szczegóły operacyi? rzekł śmiejąc się cynicznie... No, powiem tylko że się jej podjął i dokonał szczęśliwie, że byłem mu za to wdzięczny i raczysz pozwolić że nim i nadal pozostanę.

Po chwili milczenia Ida zawołała:

— Ależ to bynajmniej nie dowodzi uczciwości, tylko talentu...

— Jak sobie chcesz, moja kochana, rzekł coraz więcej zniecierpliwiony; Burnet tedy nie jest uczciwym człowiekiem, jest zły, jest największym łotrem pod słońcem... ale najlepiej powiedz mu to sama, masz dobrą sposobność bo otóż i on!

— Co ma mi powiedzieć miss Ida? zapytał spokojnie, spoglądając naprzemian to na szydersko złośliwą twarz starca, to na pomieszaną i mocno zaczerwienioną jego córkę.

— Patrz Ido, jak niecierpliwie oczekuje; nie znajdziesz lepszej sposobności... No, zaczynaj! Jakto, odchodzisz? wołał na uciekającą... Co za szkoda! pragniesz niby rozerwać mnie, a uciekasz gdy się tak doskonała nastręcza sposobność.

Jeszcze długo po wejściu do małego saloniku, szyderski i lodowaty śmiech ojca obijał się o jej uszy. Choć nikt już na nią nie patrzy, czuje przecież iż jeszcze rumieni się zawstydzona; nie może czytać ani zająć się jakąś robotą, tak jedna, jedyna myśl pochłania jej umysł. Rzuciła się na kozetkę przed kominkiem i ukrywszy twarz w dłoniach, wsparła głowę na poduszce. Wtem drzwi się otwarły; to pewnie służąca przynosi lampę gdyż zaczyna się ściemniać... ale nie... słychać chód dwóch osób i szelest sukien jakich nie nosi najemnica. Podniosłszy oczy, ujrzała przed sobą młodą dziewczynę znaną jej w przeszłości, jak jej się zdało bardzo już dalekiej choć zaledwie pare tygodni upłynęło od czasu jej wyjazdu z domu. Zerwała się prędko i objęła uściskiem Zofię Tarlton.

— Biedna samotnico! zawołała przybyła zdziwiona tak gorącem powitaniem, dopieroż musisz być nieszczęśliwa, kiedy tak cię ucieszyło moje przybycie!

— Czyliż obecność twoja nie sprawiała mi zawsze największej przyjemności? zawołała opuszczając ręce, a cofnąwszy się myślą w przeszłość, nie mogła nie uznać w duszy, że dawniej bardzo umiarkowaną

sprawiało jej przyjemność przybycie kogoś z członków rodziny Tarlton.

— Tak, zapewnie, nigdy jednak takiej jak obecnie, odrzekła Zofia. Doprawdy, myślałam z początku że bierzesz mnie za kogo innego. Czy jesteś pewna że to ja jestem?

— Najpewniejsza, odpowiedziała Ida śmiejąc się ale nieco zmieszana. Jakże się miewa Anna?

— Bardzo dobrze, odrzekła obojętnie Zofia. Chciałam żeby przyszła tu dziś ze mną, ale wolała udać się do Paddington, aby tam zobaczyć jednego ze swych mniemanych wielbicieli. Mówiąc między nami, czynił co mógł aby jej to wyperswadować, ale znasz Annę! Co do mnie, nie umiem pojąć podobnego postępowania, tak wysokie mam pojęcie o swojej godności... ale Anna tego nie rozumie.

Najswobodniej w świecie, oskarżała tak własną siostrę.

— A jakże się miewa mistress Tarlton i jenerał? zapytała Ida nie zważając prawie na to co mówiła Zofia, ale znajdując wielką przyjemność w wymawianiu tak dobrze znanych jej nazwisk, choć prawdę mówiąc nieprzywodzących jej najmilszych wspomnień.

— A znów już przeszło tydzień nic nie mówią do siebie, nie jest że to niederzecznem? Stanęliśmy na te pare tygodni w hotelu Garlanda, otóż porozumiewają się jedynie za pośrednictwem garsona. Doprawdy, wstydzimy się za nich.

Usiadłszy, Zofia bacznie rozpatruje się po pokoju.

— Ależ nie jesteś znów tak bardzo godną pożałowania. Myślałam że przebywasz w jakiejś nieogrzanej izbie, a tymczasem masz tu wygodne fotele i kwiaty. Czy to wasz ogrodnik ci je przysyła?

— Nie zdaje mi się, odrzekła wahająco Ida, ale po chwili dodała ze zwykłą sobie szczerością: nie, kwiaty te nie pochodzą z naszego ogrodu; pochodzą... nie wiem zkąd i od kogo.

— I nigdy nie zapytałaś o to?

— Nie... ale mniejsza zkąd się biorą, dość że są!... chociaż dodała z pewną niechęcią, bardzo mogłabym obejść się bez nich.

— I pozostaniesz tu, rzekła Zofia przysuwając się do kominka, aż do czasu...

— Zapewnie, odpowiedziała Ida, pozostanę aż do...

Obiedwie nie dokończyły frazesu; są rzeczy które się myśli, ale nie mówi.

— A cóż zrobisz potem?

— Co zrobię? zawołała żywo, nic innego nad to iż pierwszym odchodzącym pociągiem powrócę do domu. Wiem że tam beze mnie wszystko źle idzie. Czy byłaś tam? czy widziałaś ich? Pewnie bardzo strapieni i zakłopotani?

— Byłam u nich we środę na śniadaniu. Wszyscy zdawali mi się być w zwykłem usposobieniu, z wyjątkiem Janiny, która zajmowała miejsce gospodyni domu i odgrywała jej rolę; ale, dodała spostrzegłszy wyraz niezadowolnienia na twarzy Idy, byłam z nimi tak krótko że mogłabym się pomylić w moich spostrzeżeniach.

— To prawda zawołała Ida z żywością; bardzo mnie też cieszy że tam wszystko idzie jak się należy!

— Wyglądasz lepiej niż się tego spodziewałam, rzekła Zofia, przyglądając się z bezstronnością kobiety nie mającej pretensyi do piękności, pełnem blasku oczom i rumieńcom swej towarzyszki. Sądziłam że te nocy bezsenne wpłyną niekorzystnie na twoje zdrowie.

— Nie przepędzam wcale bezsennych nocy.

— W takim razie zapewnie w dzień czuwasz przy ojcu i siedzisz ciągle w jego pokoju?

— Wchodzę tam zaledwie dwa lub trzy razy na tydzień, i to na krótko.

— A więc na cóż może się zdać twoja obecność u niego?

— Zapytaj o to doktora Burnet'a, odpowiedziała z goryczą. Nie wiesz może o tem że to on tu jest panem?

— Ale dla jakiegoż powodu miałby ci wzbraniać przystępu do pokoju ojca? zapytała Zofia.

— Te powody jemu są tylko znane; co do mnie nie mam ochoty odgadywać jakie być mogą.

Powiedziała to z takiem rozdrażnieniem że Zofia rozśmiała się mimowolnie.

— Nie dajesz mi o nim zbyt dobrego wyobrażenia, rzekła; ale dodała po chwili, choćby wywierał najsilniejszy wpływ na twego ojca, nie mógłby mu zabronić aby cię przywołał do siebie, gdyby pragnął tego rzeczywiście.

— Otóż to właśnie że tego nie pragnie! że nie chce widzieć mnie przy sobie! zawołała nakoniec Ida, niezdolna powstrzymać dłużej wybuchu gniewu i oburzenia przepełniającego jej serce już od piętnastu dni. Nie lubi mnie wcale! Nie przypuszczałam nigdy abym mogła być komuś niemiłą aż do tego stopnia... Wszystko to jest dziełem doktora Burnet'a; chciał żebym przyjechała, i musiałam przyjechać.

— Najdziwniejszą dla mnie rzeczą jest to że przyjechał sam po ciebie, rzekła Zofia. Człowiek nie mający chwili czasu do stracenia! Bo muszę ci powiedzieć, moja droga, że tylko ktoś równie jak my nie mający najmniejszego wyobrażenia o tem co się dzieje w świecie mógł nie znać także nazwiska doktora Burnet. No! prawda że wszyscy cieszymy się porządanem zdrowiem... Ale jakim sposobem mógł stracić na to dwadzieścia cztery godzin, aby cię tu przywieźć do ojca?

Nie umiemy powiedzieć czy miłość własna Idy została obrażoną tem że Zofia wyraziła się tak jak gdyby Burnet jadąc po nią czynił jakieś poświęcenie, czy też tonem jakim to powiedziała, dość że odezwała się dość cierpko:

— Nie wiem doprawdy, czemu wszyscy uwzięli się na to aby wychwalać go przede mną. Nie zwykłam uprzedzać się do ludzi (lekki uśmiech przebiega po ustach Zofii,) ale to nie podpada wątpliwości, że ten pan jest tu zupełnie obcym, i że on tylko sam mógłby powiedzieć jakim sposobem pozyskał taką przewagę nad moim ojcem, gdy ja, rodzona córka, nie jestem tu niczem, niczem zupełnie, i jak piesek muszę wszystkim być posłuszną.

Tak rażąca sprzeczność zachodziła między tą skargą na doznawane przez nią upokorzenia a jej dumną postawą, że Zofia uśmiechnęła się znów pomimowolnie.

Musi to być dla ciebie rzecz całkiem nieznana, rzekła wstając. Muszę cię już pożegnać; sądziłam że doczekam się tu Anny, ale prawdopodobnie wzdycha jeszcze biedaczka na platformie w Paddington. Do widzenia!

IX.

Styczeń zbliża się do końca, nadchodzi luty uwieńczony pierwiosnkami. Na wsiach już gdzie niegdzie ukazują się kwiatki, ale na skwerach londyńskich nic jeszcze nie rozwesela oczu.

Ida przebyła znów dwadzieścia dni jednostajnych, szarych, niekiedy nawet dla niej czarnych, gdy uszczypliwe jakieś słówko ojca zraniło ją boleśnie, lub gdy duma jej została upokorzoną w jakiej utarczce z doktorem Burnet, gdyż z wytrwałością, która w każdym innym razie przyniosłaby jej zaszczyt, zachowała usposobienie wojownicze względem niego. Co do niego, posiadając równie gwałtowny jak ona charakter, wyrzekł się już wszelkich pojednawczych usiłowań i walczy z nią takąż samą jak ona bronią: niechętnem spojrzeniem, uszczypliwą odpowiedzią, docinkami. Jednak prawdopodobnie już niedługo będą potrzebowali spotykać się z sobą.

Śmierć zabiera jednych od razu, nagle, drudzy opierają jej się długo, uparcie i czynią rozpaczliwe usiłowania aby powstrzymać uciekające życie. Tak właśnie było z ojcem Idy. Choroba czyniła codzień niewidoczne prawie postępy, lecz cofnąwszy się myślą o kilka lub kilkanaście dni, można było zdać sobie dokładnie sprawę z wzrastającego stopniowo osłabienia, widząc zmianę zachodzącą w jego nawykknieniach. Światło raziło go w oczy, z niechęcią przyjmował wszelki posiłek; kazał jeszcze czytywać sobie francuzkie romanse, szydził z wymowy córki i przypominał jej złośliwie pochwały panny Schwartz; śmiał się jeszcze przypominając sobie swe dawne *sprawki*, ale śmiech ten jest co dzień słabszy; Belot i Zola codzień mniej go zajmują, nawet zaczyna mniej uszczypliwie żartować z córki. Ida znosiła teraz cierpliwie przycinki ojca, bo któżby mógł niecierpliwić się na osobę tak słabą i tak bliską śmierci? Czy to że wzruszyła go tą swoją słodyczą, czy że miło mu było patrzyć się na nią, czuć dotknięcie jej delikatnej i chłodnej ręki, dość że co raz częściej wzywał ją do siebie, zatrzymywał dłużej i z pewnym odcieniem żalu patrzył za odchodzącą. Teraz gdy już był blizkim śmierci, prawie ciągle przebywała w jego pokoju.

Prawda że jednocześnie chory starał się dowieść jej że nie pozyskała nad nim żadnego wpływu; zmuszał ją do ulegania woli doktora; sprawiało mu to przyjemność gdy patrzył na jej oczy błyszczące gniewem i silny rumieniec pokrywający jej lica, skoro ją zmuszał aby się zastosowała do rady pana Burnet'a. Często tym sposobem była zniewoloną udać się na spoczynek lub wyjść na przechadzkę z polecenia swego nieprzyjaciela; gdyż Ida jest uparta, i chce w nim widzieć ciągle swego wroga.

Odkąd stan chorego pogorszył się tak znacznie, spotykali się częściej przy jego łóżku; często delikatne jej rączki dotykają się rąk doktora, kiedy unoszą umierającego chcąc go położyć wygodniej: nie raz także nie chcąc go trwożyć rozmawiają z sobą tylko oczyma. Niekiedy mówili z sobą cicho w przyległym pokoju; on wydawał rozporządzenia, i był pewnym że zostaną ściśle wykonane, ona słuchała z najgłębszą uwagą, a jednak to zbliżenie nie wywarło żadnego wpływu na ich wzajemne postanowienie. Był to tylko *pokój boży*. Po za tą przymusową zażyłością i pozorną grzecznością kryła się zawsze dawna niechęć, gotowa wybuchnąć przy pierwszej sposobności.

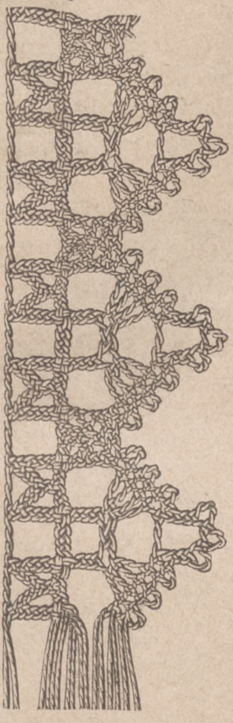
Nadszedł pierwszy lutego: był to jeden z tych dni ciepłych i miłych, jakiemi darzy nas często ten miesiąc skory do obietnic, które marzec tak rzadko urzeczywistnia. Lekki wietrzyk kołyszący gałązkami leszczyny i przywołujący na powierzchnię ziemi krokusy i pierwiosnki, nie przenika do pokoju chorego i nie może odświeżyć duszącego w nim powietrza. Ida przepędziła tam już całą noc i dzień cały, bo pomimo obecności *garde-malade*, ojciec szuka jej ciągle zamglonem spojrzeniem, i utyskuje jeźli oddali się choć na chwilę. W ciągu dnia wzmagała się ciągle jego niespokojność, a resztki sił wyczerpały się w ciągu długiej rozmowy z notaryuszem, którego wezwał do siebie w wigilię tego dnia; ulegając namowom pan Burnet'a. *(D. c. n.)*

Opis do N-ru 35.

(Dokończenie).

N. 26. Haft różnokolorowy na fotel lub poduszkę do kanapy. Część deseniu w naturalnej wielkości, fig 65.

Model poduszki robiony był na tle czarnem sukiennem, na środku którego umieszczony był czworokąt 38 cent. szeroki a 30 wysoki, z materyi gazowej koloru zielonawo-popielatego, przerabianej nitkami złotemi. Przyszycie i środek tego kwadratu pokrywa aplikacya z sukna jasnobronzowego, która na deseniu oznaczona jest linijkami skośnemi, zaś linijki proste oznaczają aplikacye z aksamitu bordo. Aplikacye sukienne przyszywa się ściegiem sznureczkowym, filozelą bronzową, za ktorym od strony wewnętrznej idzie wyszycie łańcuszkowe kolorem jaśniejszym, a na zewnątrz ciemniejszym. Koło środkowe przyszywa się kręconym niebieskim sznureczkiem, a ząbki wyszywa się niebieskim jedwabiem. Aplikacyę aksamitną przyszywa się sznureczkiem bordo, gwiazdki na tle gazowem są niebieskie, a gałązki na czarnem suknie wyszyć jedwabiem rezedowym.



N. 1. Koronka robiona na klockach do serwety, ryc. 2. Sposób roboty na fig. 31.



N. 2. Serweta haftowana na płótnie. Patrz ryc. 13 w N. 35 i fig. 25—31.

N. 27. Szlak robiony ściegiem przejrzystym włoskim, kolorem ponsowym i zielonym, na rzadkiem płótnie.

N. 28 i ryc. 48 w N. 36. Sukienka princesse z fałdami dla dziewczynki lat 5—7. Krój N. II, fig. 7—10.

Podług formy podanej na fig. 7 i 8, którą trzeba od dołu przedłużyć i rozszerzyć, kraje się gładką podszewkę sukienki; do materyału zaś zwierzchniego dodaje się w środku pleców ilość potrzebną na fałdy, widoczne na ryc. 28, fałdy zaś na przodach wraz z przemarszczaniem i falbanką, układa się z osobnego kawałka i naszywa na przodach przy obrębach do guzików i dziurek. Spódniczka ogarnirowana plisowaniem i dwoma w kontrafałdy układanemi falbankami, nad któremi upięte szarfy w fałdy złożone, mające 20 c. szerokości a 29 długości, których brzegi z przodu pod przyszycie fałd podchodzą, a przy plecach wchodzą w otwór przy fałdach przecięty, a zakończone są sutą kokardą, przepiętą dużym przemarszczanym węzłem. Na ryc. 28 dajemy także model kapelusza z tego co sukienka materyału jakie obecnie modne są dla dzieci.



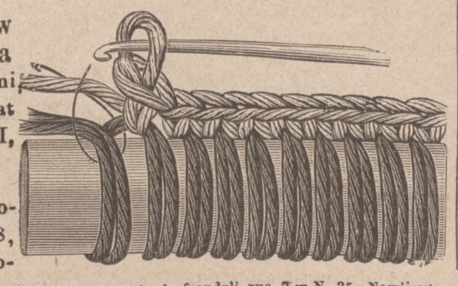
N. 3. Torsada robotą macramé.

N. 29. Sukienka princesse z fałdami dla kilkoletniej dziewczynki. Krój jak do ryc. 28.

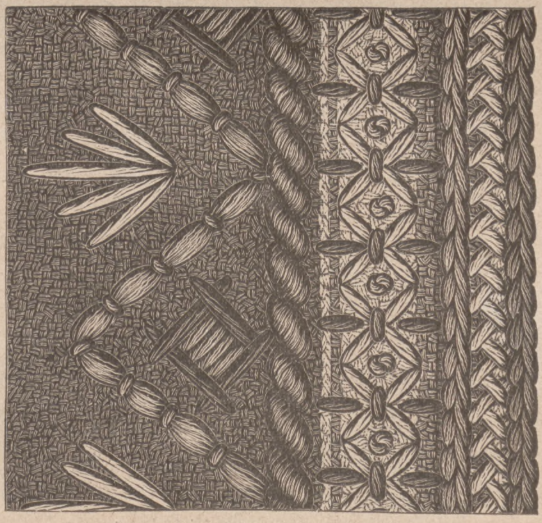
Przy letnich sukienkach bardzo ładnie wyglądają fałdy wzdłuż pleców i przodów, przedzielane białemi wypustkami, z których układa się także kołnierz i mankiety. Oddzielnie dodaną spódniczkę, pokrywają trzy wolanty oszyte wązką koroneczką. Plecy zdobią duże kieszenie przyszyte z boków i szeroka kokarda dana w środku. Kokardy z przodu ze wstążki 2 cent szerokiej.

N. 30. Suknia z vêtement.

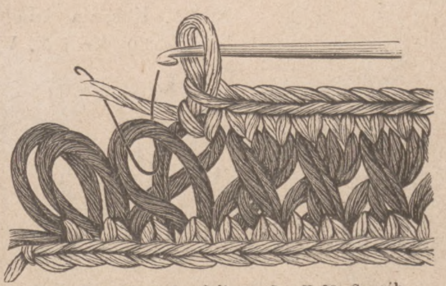
Spódnica oszyta jest dwoma szerokiemi wolantami, które oprócz kolorowych, drukowanych szlaków, oszyte są koronki. Krótko podpięte vêtement z materyału w paski, zdobi draperya z gład-



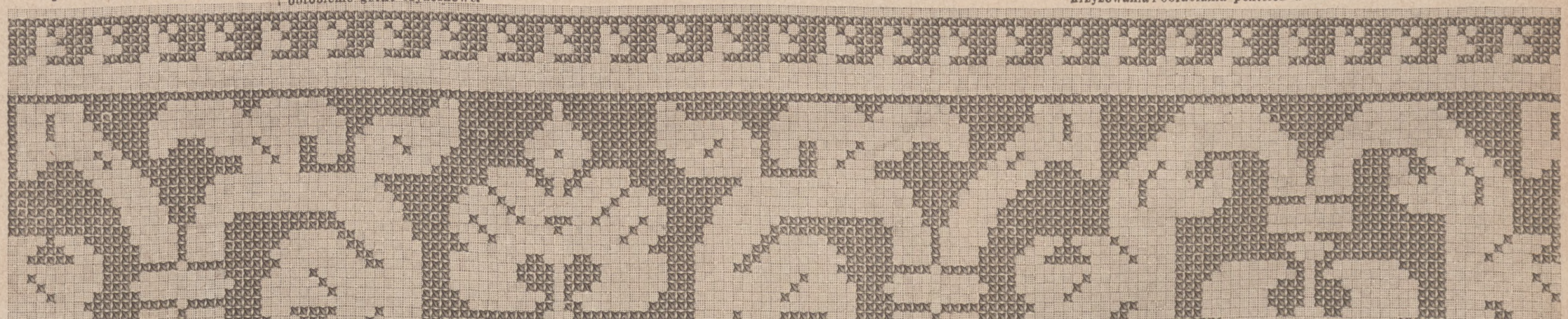
N. 4. Torsada do frendzli ryc. 7 w N. 35. Nawijanie i obrobienie górne szydełkowe.



N. 6. Próbka wyszycia i torsady na szlaki, do ryc. 8 w N. 35.



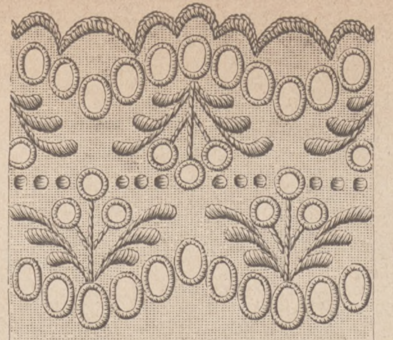
N. 5. Torsada do frendzli, ryc. 7 w N. 35. Sposób krzyżowania i obrabiania pentelek u dołu.



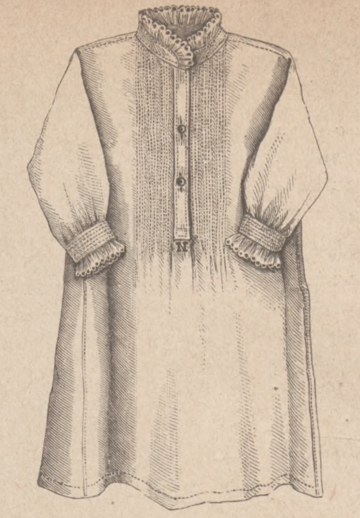
N. 7. Szlak do roboty ściegiem zwyczajnym krzyżowym lub ściegiem plecionym, albo też włoskim, na dwie strony i t. p.



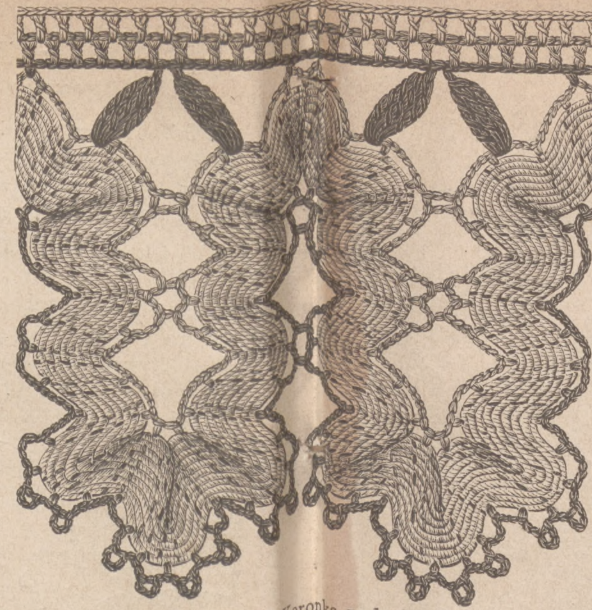
N. 8. Kapelusz „Directoire“. N. 9. Kapelusz dla małej dziewczynki. Forma N. XVI, fig. 57 i 58.



N. 13. Haft na karczek do koszuli ryc. 26.



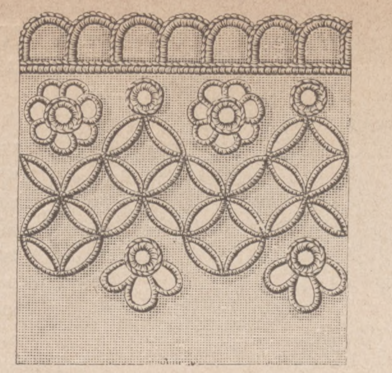
N. 15. Koszula nocna dla dziewczynki lat 4—6. Plecy na ryc. 16. Krój N. XIII. Fig. 47 — 51.



N. 12. Koronka z plecionki w zęby i roboty szydełkowej z bawełny kolorowej.



N. 17. Koszula nocna dla małego chłopczyka. Krój jak do ryc 15 i 16.



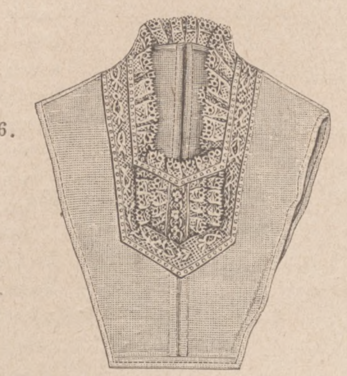
N. 14. Haft angielski na karczek do ryc. 26.



N. 10. Kapelusz „Pamela“ dla małej dziewczynki. N. 11. Kapelusz „bébé“ dla dorosłych osób.



N. 21. Majtki do gimnastyki. Krój N. VI. Fig. 18.



N. 18. Szmizetka. Patrz mankiet ryc. 19. Krój N. VII, fig. 19—20.

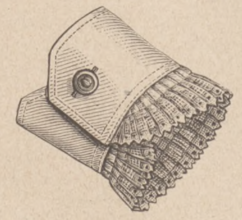


N. 24. Koszulka wycięta dla chłopczyka lat 4 do 6. Krój N. III. Fig. 11 i 12.

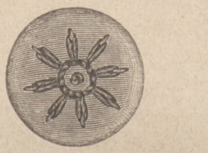


N. 26. Koszula z karczkiem przedłużonym Deseń haftu r. 13 i 14. Krój N. IV, f. 13—15.

N. 25. Koszula dzienna dla panienki lat 7 — 10. Krój N. V. Fig. 16 i 17.



N. 20. Mankiet podwójny.



N. 27. Guzik płócienny wyszywany do dziecinnej bielizny.



N. 22. Majtki z falbanką haftowaną kolorowo dla dziewczynki lat 8 — 10. Patrz r. 16 i 17 w N. 35. Krój N. XVIII, fig. 60.



N. 31. Suknia z draperją. Krój N. IX. Fig. 22 i 23.

N. 32 i 33. Ubranie ze stanikiem bluzkowym.

N. 34. Długi płaszczyk. Krój N. X. Fig. 32—38a. Patrz także ryc. 49 i 50.



N. 19. Mankiet odpowiedni do szmizetki, ryc. 18.



N. 28. Guzik płócienny do bielizny dziecinnej.

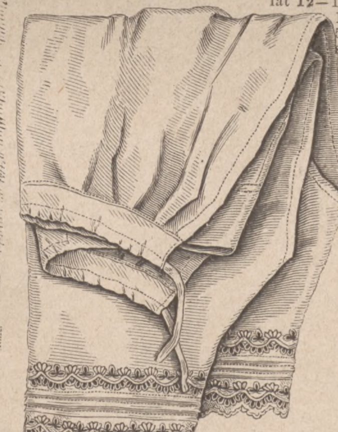


N. 29 Koszula dzienna z okrągłym karczkiem dla panienki lat 12—15. Krój N. XIV. Fig. 52—55. Desenie do haftu r. 21—23 w N. 35.

N. 30. Koszulka krajana razem z rękawkami dla dziewczynki lat 5 — 7. Krój N. XV, fig. 56.



N. 16. Koszula dla dziewczynki lat 4 — 6. Patrz przód na r. 15. Krój N. XIII, fig. 47—51.



N. 23. Majtki z haftem białym dla panienki lat 12 — 14. Krój N. 12. F. 45-46.



N. 38. Ubranie negliżowe japońskie z szerokiemi rękawami. Patrz przód na ryc. 39. Krój N. XIX. Fig. 61 — 63.



N. 35. Ubranie ze stanikiem bluzkowym i paskiem medicis, dla panienki lat 12—15. Plecy na ryc. 36. Krój N. XI, fig. 39—44.



N. 37. Szlak robiony ścieg'em plecionym czyli perskim krzyżowym, z obrąbkiem podwójnym spajanym. Patrz próbki na ryc. 24 i 25 w N-rze 35.



N. 36. Ubranie ze stanikiem bluzkowym i paskiem medicis. Patrz przód i krój ryc. 35.



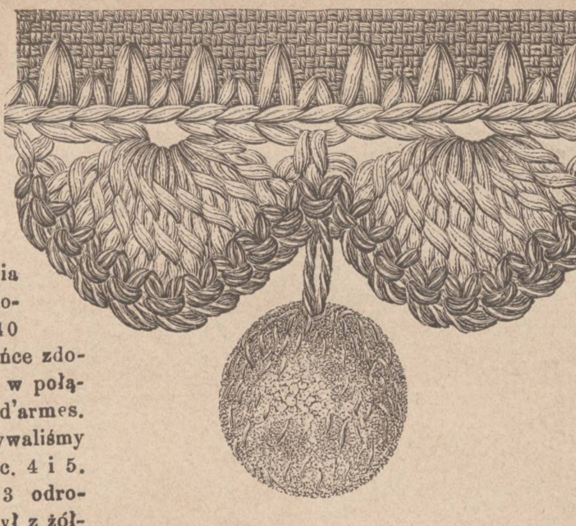
N. 39. Ubranie ranne japońskie. Plecy i krój ryc. 38.



kiego materyału oszyta koronką. Z takiegoż materyału jest chusteczka i ubranie rękawów.

N. 32—33. Dwie szerokie krawatki.

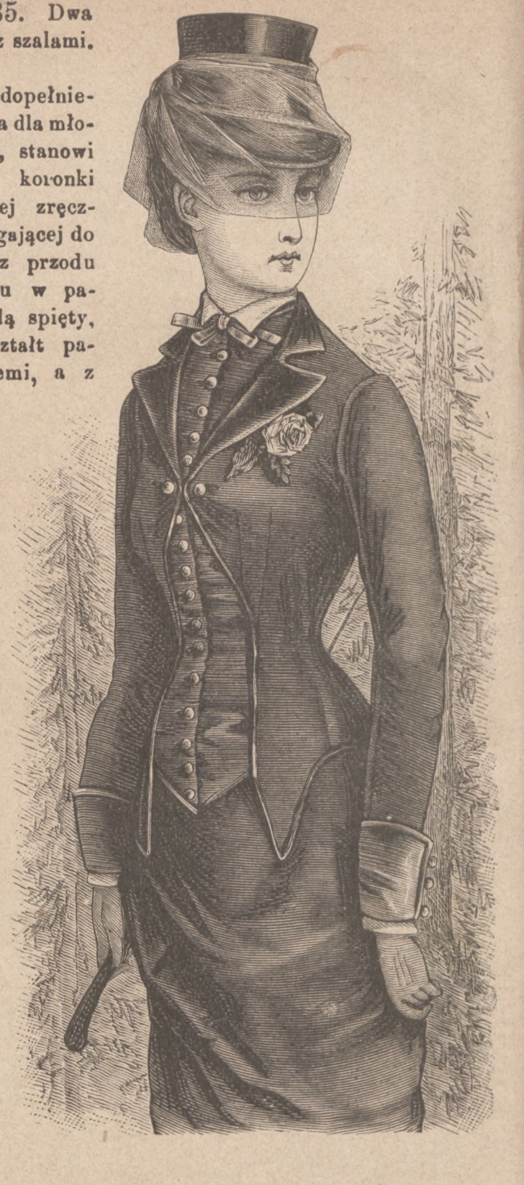
Ryc. 32 przedstawia krawatkę białą muślinową, 22 c. szeroką a 140 długą, której końce zdobi haft atłasowy, w połączeniu z point d'armes. Ścieg ten opisywaliśmy w N. 31 przy ryc. 4 i 5. Model do ryc. 33 odrobiony był z żółtawego indyjskiego muślinu i oszyty koronkę robioną na tiulu, której oddzielne figury wypadały zawsze na wierzchu fałdy.



N. 40. Ząbki szydełkowe do kołderki, r. 1, N. 35.

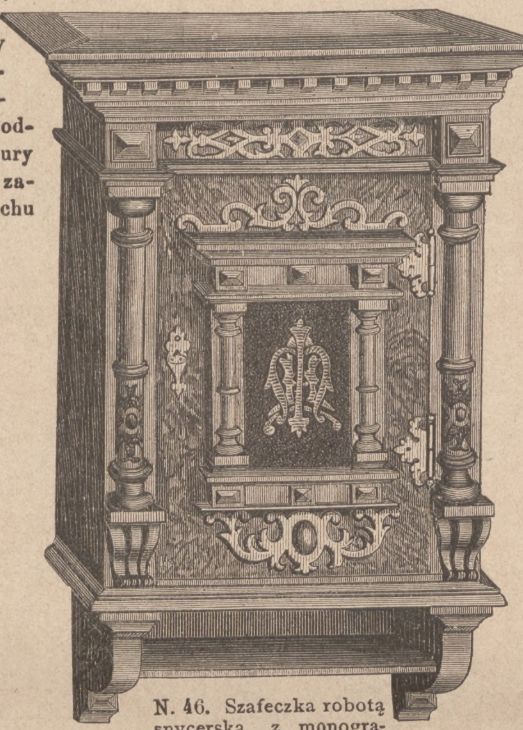
N. 34—35. Dwa ubrania z szalami.

Śliczne dopełnienie ubrania dla młodych osób, stanowi szalik z koronki hiszpańskiej zręcznie przylegającej do ramion, z przodu na wcięciu w pasie kokardą spięty, z końcami nakształt panier udrapowanemi, a z tyłu drugą kokardą spiętemi. Dla osób starszych w miejsce bardzo lekkiej koronki, używane są szaliki z gazy jedwabnej, ogarnirowane szeroko riuszą koronkową, układaną z koronki, sposobem wskazanym na ryc. 34.



N. 43. Amazonka. Patrz plecy i krój na ryc. 42. Rękawiczki ryc. 44.

N. 42. Amazonka. Przód na ryc. 43. Krój N. XX, fig. 64. Rękawiczki ryc. 44.



N. 46. Szafeczka robotą snycerską, z monogramem haftowanym na pluszu.



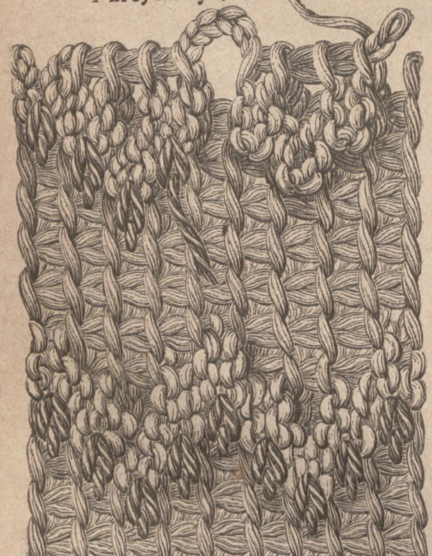
N. 48. Sukienka z zaszytemi fałdami dla dziewczynki lat 5—7. Patrz plecy i krój na ryc. 28 w N. 35.



N. 47. Koniec do krawatki. Koronka irlandzka robiona z z tasiemeczki gładkiej medaljonowej i sznureczka. Brzeg oszyty pikotami fabrycznemi.



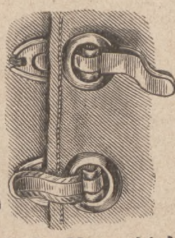
N. 49. Długi płaszczyk. Patrz plecy i krój ryc. 34, jedną figurę aplikacyi na ryc. 50.



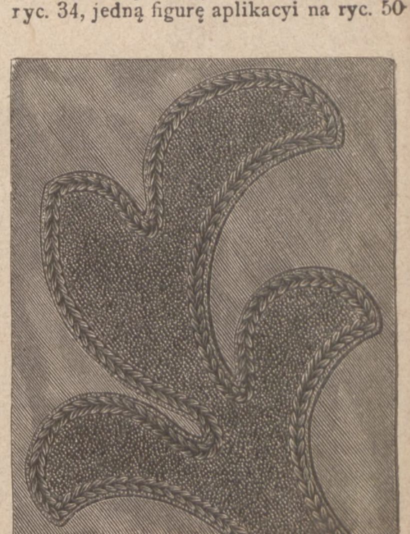
N. 41. Próbka ściegu szydełkowego na tło do kołderki ryc. 1 w N. 35.



N. 44. Rękawiczki do konnej jazdy. Patrz maszynki do zapinania ryc. 45.



N. 45. Maszynki do zapinania rękawiczek do konnej jazdy.



N. 50. Model aplikacyi do płaszczyka, ryc. 34 i 49. Wielkość naturalna.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

N. I. Stanik i draperya do sukni, ryc. 11 i 31 w N-rze 35. Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 32 w pasie.

Fig. 1. Przód (A, B, G H, I) 1 założenie
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D) ○ ○ ○ ○
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F) ↔ ↔ ↔
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H, *)
Fig. 5. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig 1—4.
Fig. 6. Wskazanie kroju draperyi.

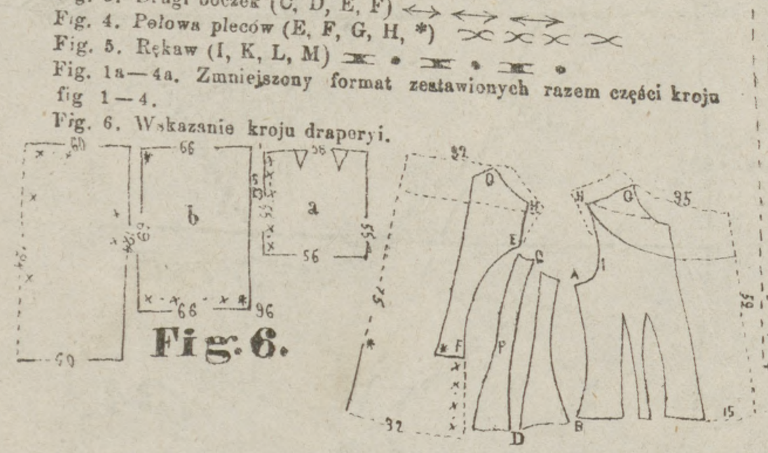


Fig: 1a. 4a

Fig 7.a–10a

N. II. Sukienka prinçesse z przemarszczaniem, dla dziewczynki lat 5—7. Rycina 28 w N-rze 35 i 48 w N-rze 36.

Fig. 7. Przód (N, O, P, Q, V)
Fig. 8. Połowa pleców (N, O, P, U)
Fig. 9. Rękaw (Q, R, S, T)
Fig. 10. Połowa kołnierzyka (U, V)
Fig. 7a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 7—10.

N. III Koszulka dla małego chłopczyka. Ryc. 24 w N-rze 36.

Fig. 11. Połowa tylnej i przedniej części stanu (W, X, Z, *)
Fig. 12. Połowa Rękawka (W, Y, Ż) ✳ ✳ ✳ ✳

N. IV. Koszula z karczkiem dla panienki lat 12—14. Rycina 26 i 13—14 w N-rze 36.

Fig. 13. Połowa tylnej i przedniej części stanu (a, c, d, e, g, *, :)
Fig. 14. Połowa karczka (d, e, f, g)
Fig. 15. Połowa rąkawka (a, b, c, f) — × — × —

N. V. Koszulka z bufowanemi rękawkami, dla dziewczynki lat 7—10. Rycina 25 w N-rze 36.

Fig. 16. Połowa tylnej i przedniej części stanu (h, k)
Fig. 17. Połowa rękawka (h, i, k) + + + + +

N. VI. Majteczki dla dziecka, rycina 21 w N-rze 36.

Fig. 18. Połowa majteczek (l, m, n, o, p)

N. VII. Kołnierzyk i mankiet ryc. 18—19. w N-rze 36.

Fig. 19. Połowa przodu kołnierzyka ze szmizetką (q, r) = × = ×
Fig. 20. Połowa pleców (q, r) — ✳ — ✳ —

N. VIII. Podstawa do czepeczka ryc. 9 w N-rze 35.

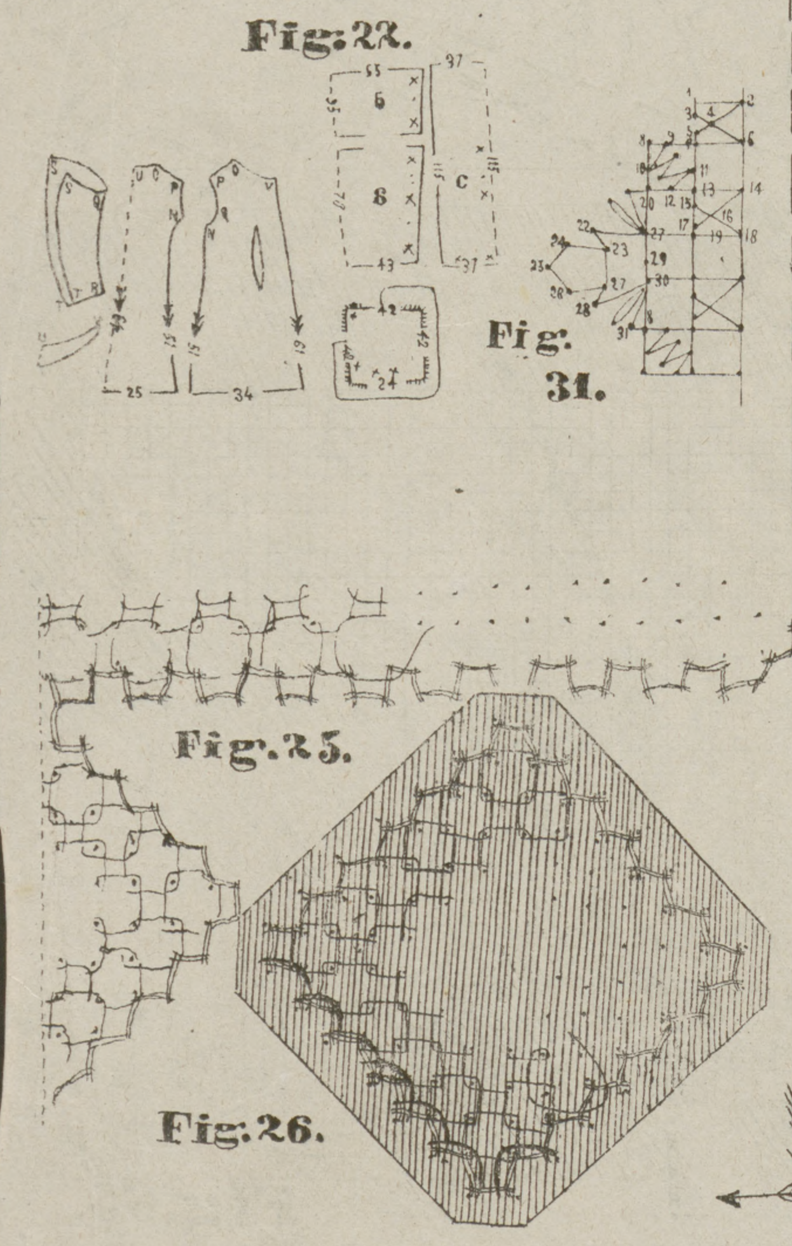
Fig. 21. Połowa podstawy

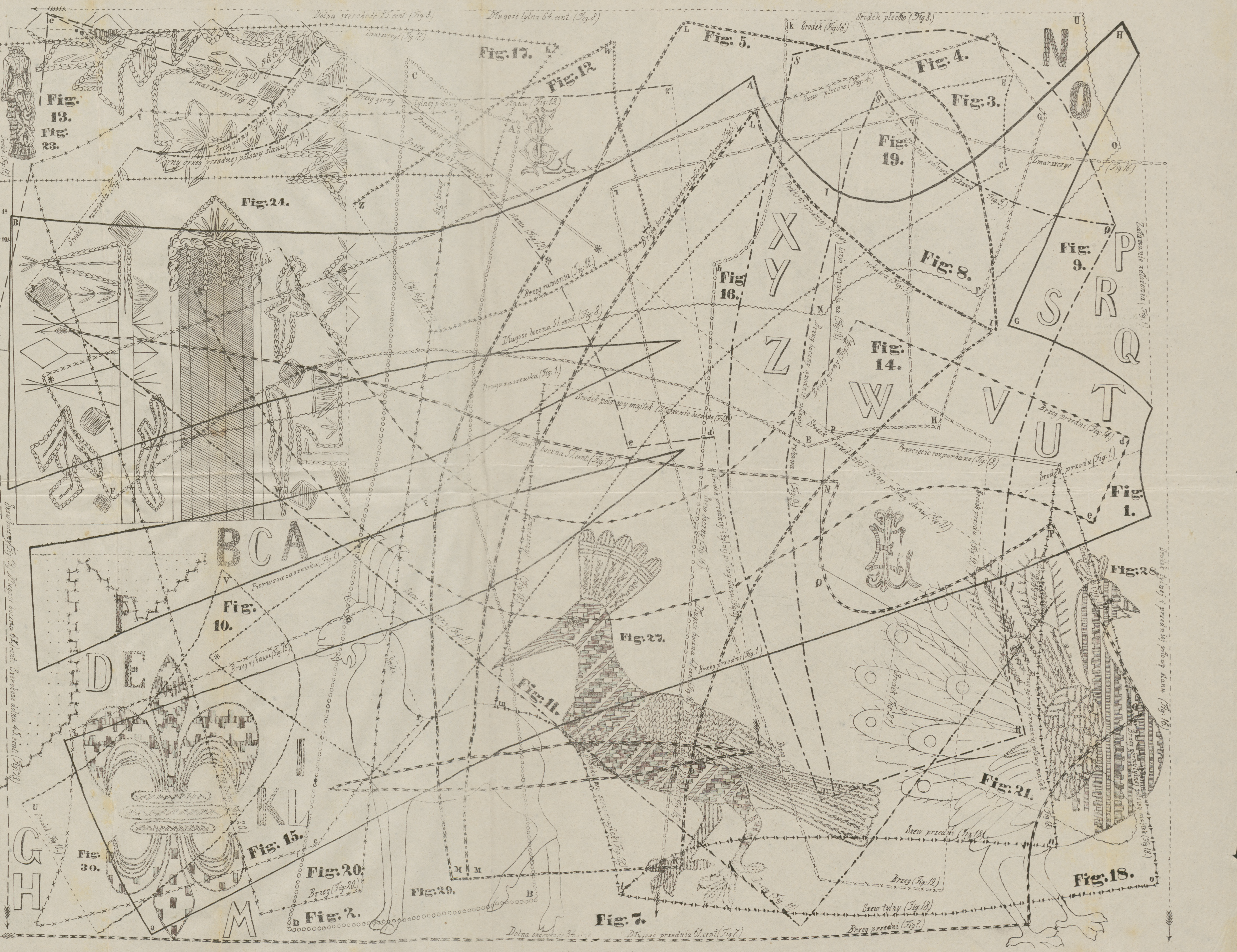
N. IX. Draperya, karoczko i całość sukni z tyłu. Rycina 31 w N-rze 36.

Fig. 22. Wskazanie kroju draperyi i karoczka: *a* połowa górnej części przodu, *b* połowa dolnej części przodu, *c* połowa tylnego bryta, wskazanie kroju karoczka.
Fig. 23. Całość sukni przedstawiona z tyłu.

Desenie:

Fig. 24. Część haftu na przykrycie do okna ryc. 7 i 8 w N-rze 35.
Fig. 25. Odznaczenie desenin na ścieg pleciony
Fig. 26. Kwadrat na ścieg pleciony
Fig. 27—29. Trzy wzory zwierząt (wyszycie na płótnie
Fig. 30. Arabeska do wyszycia na płótnie
Fig. 31. Napięcie desenin na koronkę nicianą
} do ryc. 1 i 2 w N. 36.





N. X. Długi płaszczyk. Rycina 34, 49 i 50 w N-rze 36.

Fig. 32. Przód (A, C, D, E, I) — - — - —
Fig. 33. Boczek (A, B)
Fig. 34. Połowa pleców (B, C, D, H) ×— ×— ×—
Fig. 35. Zwierzchnia połowa rękawa (B, D, E, F, G) i założenie
Fig. 36. Spódnia połowa rękawa (B, E, F, G)
Fig. 37. Połowa paska do kołnierzyka (H, I, K, L)
Fig. 38. Połowa kołnierza (K, I)
Fig. 32a—38a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 32—38.

N. XI. Bluzka i tunika dla panienki lat 12—15. Ryc. 35—36 w N-rze 36.

Fig. 39. Przód (M, N, O, P, Q, T)
Fig. 40. Połowa pleców (M, N, O, P, S)

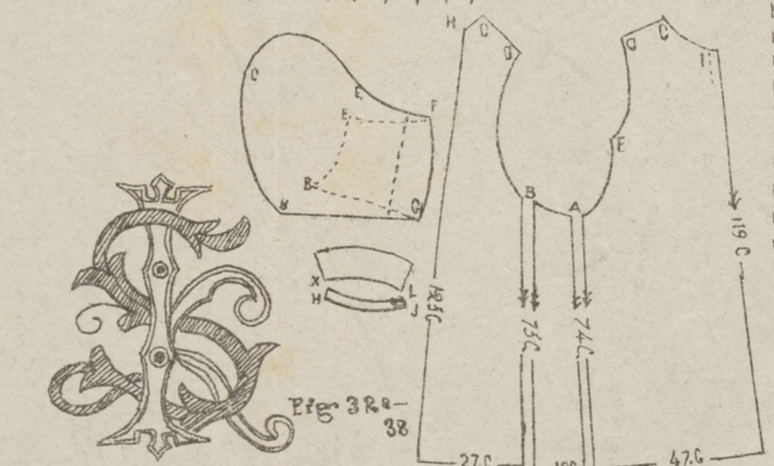


Fig. 39a—40a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 39—40 z oznaczeniem linją kropkowaną naddania materyału na przemarszczenie. ↔ ↔
Fig. 41. Rękaw (Q, R)
Fig. 42. Połowa marynarskiego kołnierza (S, T)
Fig. 43. Połowa paska Medicis ○○○○
Fig. 44. Wskazanie kroju połowy tuniki: *a* połowa przodu, *b* bryt boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. XII. Majtki dla panienki lat 12—14. Rycina 23 w N-rze 36.

Fig. 45. Połowa majtek (U, V, W, X, Y) i założenie — — —
Fig. 46. Połowa przedniego paska (W, Y) + + + +

N. XIII. Koszula nocna dla dziewczynki lat 4—6. Ryc. 15—16. w N-rze 35—36.

Fig. 47. Połowa przedniej części stanu (a, b, e, f, i *) i założenie
Fig. 48. Połowa tylnej części stanu (a, b, c, d)
Fig. 49. Karczek (c, d, e, f, h)
Fig. 50. Połowa rękawa (a, g)
Fig. 51. Połowa paska do kołnierza (h, i) * * * *

N. XIV. Koszula dzienna z okrągłym karczkiem, dla panienki lat 12—15. Rycina 29 w N-rze 36.

Fig. 52. Połowa tylnej i przedniej części stanu (k, m, n)
Fig. 43. Rękaw (k, l, m, o)
Fig. 54. Przednia połowa karczka (n, o)
Fig. 55. Połowa tylnego karczka (n, o) ● ● ● ●

N. XV. Koszula dzienna dla dziewczynki lat 5—7. Rycina 30 w N-rze 36.

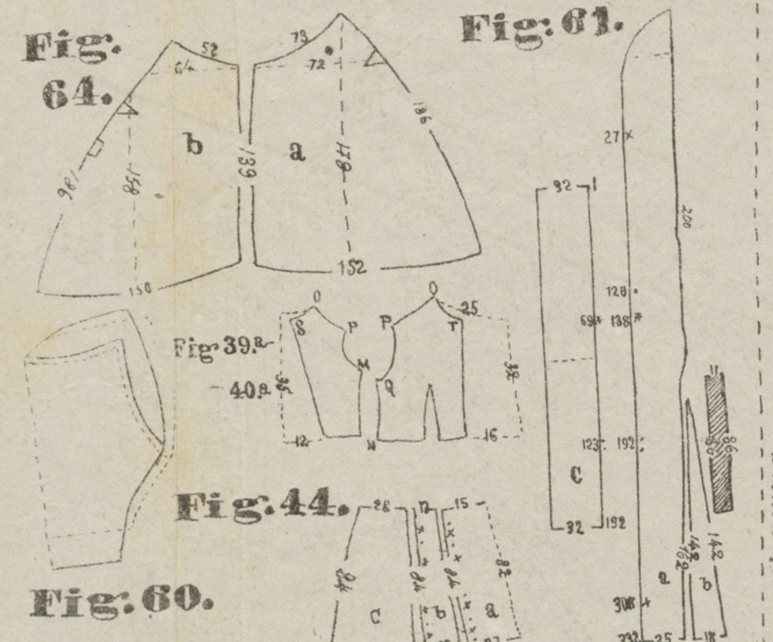
Fig. 56. Połowa koszulki (p, q)

N. XVI. Kapelusz dla małej dziewczynki. Rycina 9 w N-rze 36.

Fig. 57. Połowa główki (r, s)
Fig. 58. Połowa zmarszczonego rondka (r, s) × • × • × •

N. XVII. Podstawa do czepeczka ryc. 10 w N-rze 35.

Fig. 59. Połowa podstawy (*, :)



N. XVIII. Majtki dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 22 w N-rze 36.

Fig. 60. Wskazanie kroju połowy majtek podług kroju N. XII.

N. XIX. Negliż (Japonaise). Rycina 38—39 w N-rze 36.

Fig. 61. Wskazanie kroju połowy negliża: *a* połowa przodu i pleców (*, :, ;, +), *b* klin dopełniający przód, *c* rękaw (*, :), *d* połowa wykładu.
Fig. 62—63. Desenie.

N. XX. Spódnica od amazonki. Rycina 42—43 w N-rze 36.

Fig. 64. Wskazanie kroju spódnicy: *a* przód, *b* bryt tylny.

Desenie.

Fig. 65. Czwarta część poduszki do kanapy lub krzesła, ryc. 26 w N-rze 35.
Fig. 66. Deseń na szalik szydełkowy ryc. 14 w N-rze 35.
Fig. 67. Koronka w zmniejszeniu. Fig. 68. Gałązka do koronki fig. 67.
Fig. 69. Koronka szydełkowa.
Fig. 70—74. Hafciki do bielizny.

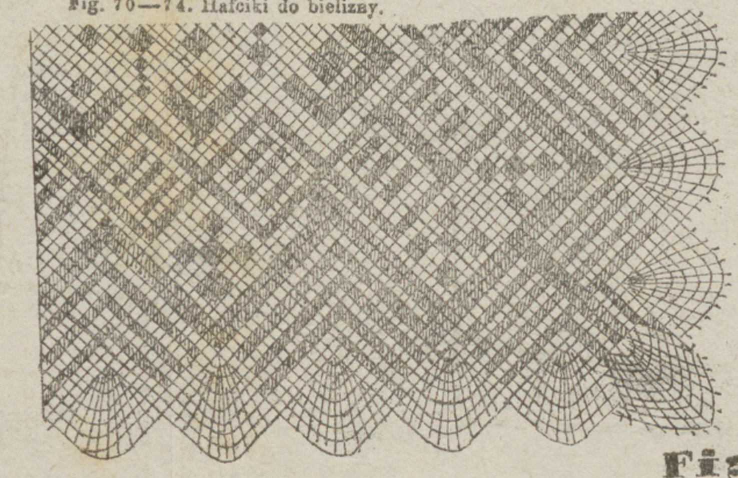


Fig: 66.

